Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nr. 16 Kraków, dnia 18 marca 1945 r. Rok II

Zamek piastowski w Opolu przed zburzeniem przez Niemców

EDMUND OSMAŃCZYK

Kraj krzywdy

1

Gorszy od ucieczki jest powrót.

Przed wrześniem 1939 roku, mając powołanie do pruskiego wojska, Polak, obywatel Rzeszy, przekraczałem „zieloną granicę" spiesząc z Opola do Warszawy. Wstyd wlókł się za mną jak kłoda. Co tu ukrywać. To była ucieczka. Cóż stąd, że za sobą zostawiałem nieuchronnie czekające mnie KZLagry, więzienia, koszary. Nikła to prawda, wobec tej drugiej, ogromniejszej, że zostawiałem za sobą tysiące bliskich towarzyszów walki, kolegów, przyjaciół, którzy nie mogli lub nie chcieli opuścić rodzinnej ziemi. „Wytrwamy i wygramy!" — śpiewaliśmy wspólnie tylekroć razy przez ten okres lat wściekłych i lat podłych polsko-niemieckiego porozumienia, ubijanego naszym kosztem. I oto oni — wytrwali. Ja — uciekłem.

Przez pięć lat i sześćdziesiąt trzy dni pobytu w Warszawie głupi wstyd tłoczący serce przeobrażał się w mózgu w opętańczy dług. Przeżyć — aby dług spłacić, przeżyć — aby odrobić zaległe, przeżyć — aby wrócić i zwrócić niezabrane.

W lutym 1945 roku przekraczałem „zieloną granicę", śpiesząc z Krakowa na wyzwolony Opolski Śląsk. Wracałem z Krakowa. Warszawy — miasta, które pokochałem jak dzieciak odnalezioną cudem matkę — już nie było. W pamięci pozostało upiorne cmentarzysko i w nim zagubiony, przywalony gruzem grób.

Granica nie była zielona. Czarny, obrzydliwy śnieg, rozgnieciony gąsienicami czołgów, zmieszany ze spalidłem zwęglonych chałup. Gdy szedłem w 1939, było słońce i były żniwa. Pachniał chleb. W 1945 ćmił deszcz. Śmierdziało głodem i śmiercią.

W domu? Nie ma domu. Są zgliszcza. Tak jak w Warszawie. Najbliżsi? Nie ma najbliższych. Wywiezieni. Tak jak z Warszawy. Towarzysze walki? W obozach. Na frontach. W ziemi. W niebie.

Gorszy od ucieczki jest powrót.

Zmierzchł wstyd. Wydrętwił się ból. Kiedym szedł przez Oleskie, kiedym wkraczał w Kluczborskie, kiedy wiatr bił mnie po twarzy i siekł deszczem, podbijanym śniegiem, to źrenice szeroko otwarte piekły, jak wtedy — w październiku — gdym wlókł się po raz ostatni przez Warszawę. I jak wtedy, pięści zwierały się w bunt, który by mógł rozkrwawić cały świat, aby świat bolał tak jak my, aby tak zgrzytał jak my, aby tak wył jak my.

Za dużo krzywd. Za dużo. To już nie kamienie rozrzucone przez szatana po polu. To ciągnące się bez kresu kamieniołomy krzywd.

2

Od Szczecina po Zgorzelec na wschód bił taran pruski i miażdżył. Zdobywał wyjściowe pole dla czołgów przeznaczonych na Wołgę i Ural, Kubań i Terek. Ugniatał ziemię starannie na lotniskowiec Germanii prącej na wschód. Wiekami rozdzierano trzystukilometrową gardziel granicy Odry i Nissy na dwutysięczną granicę ataku z 39 roku.

Wbił się w uszy i spowszedniał frazes o siedmiuset latach Śląska. Z wymęczonej pięciu latami wojny wyobraźni trudno wydobyć widowisko siedmiuset lat. Nie trudźmy się. Zapomniana krzywda zczerniała już w ziemi na węgiel — przeklęte bogactwo Śląska. Wystarczy sięgnąć pamięcią bliżej, w czasy od żelaznego kanclerza do brunatnego: bismarckowskie „Entweder germanisieren oder ausrotten", trzy śląskie powstania, plebiscyt, terror pacyfikacji poplebiscytowej, bandy orgeszów, Grenzschutzu, czarnej Reichswehry — organizacji, z których wyszli najwybitniejsi gestapowcy, oprawcy Warszawy i Oświęcimia, Majdanka i Zamościa, ritterkreuztraegery, vondembachy. „Narodowościowa walka graniczna stosować musi wszystkie metody: od szlachetnych do najbardziej podłych" — uczył w Stuttgarcie profesor Pleyer, „wódz" historyków niemieckich. I stosowali, metodycznie, po prusku, stopniując szlachetność do szczytów podłości i zbrodni.

Etnografia polityczna, najcyniczniejsza z nauk, mówiąca o żywych, a milcząca uroczyście o pomordowanych, zasypywała piaskiem zapomnienia każdą niemiecką zbrodnię, przywalając warstwicę krzywdy polskiej kamieniem politycznego rozsądku — „stało się". Etnografowie nasi przez sto lat notowali tylko, że w Nysie, Kładzku, Wrocławiu, Szczecinku, Kołobrzegu w tym a w tym roku ostatni raz słyszano mówiących po polsku. Stawiano nagrobki z nazwiskiem i datą, a szlachetniejsi dodawali prośbę o wieczne odpoczywanie. W tym potwornym nawarstwianiu się krzywdy i osłupiałym notowaniu zgonów było coś niesamowitego. Tak, osłupiali krzywdą, przez 63 dni, z których każdy był wiekiem, myśmy notowali śmierć kolejną każdej ulicy Warszawy, a widząc niesamowitość tej klęski, tępieliśmy w suchym stwierdzaniu faktów.

Ginął język polski nad dolną Odrą i Nissą, ginęli Polacy. Jeszcze w 1844 roku Wilhelm IV, król pruski, wydał w Poczdamie po polsku „Instrukcję dla sołtysów w hrabstwie kładzkim". A Kładzk to jest Glatz. Jeszcze Kraszewski w Lignicy i Głogowie rozmawiał po polsku, o Wrocławiu nie wspominając. W miejsce wymordowanych, zgermanizowanych (ci szli w większości do miast) przybywali Polacy-niewolnicy. Polska odsunięta od Bałtyku i Odry dusiła się rozrodczością chłopskiej nędzy, gdy Prusy, wyrosłe z homoseksualnych zakonów krzyżowych schły bezrodnością. Ta nędza polska była gwarantką rozrostu Prus i gwarantką bezkarności trzebienia Polaków-autochtonów na ziemiach pomorskich i wrocławskich. W miejsce Polaka spod Koszalina, Słubic (Frankfurt nad Odrą), Strzelina czy Kładzka, Polaka, mającego tradycję osiadłości na własnej ziemi, przybywa z „Kongresówki", czy „Galicji" Polak — „bydlę robocze" — pracujący na „cudzym" dla nacji panów. Jedynie Śląsk Opolski, wschodnie pobrzeże wrocławskiego, Babimojskie, Krajna, Kaszuby zdołały się najdłużej utrzymać w etnografii żywych. W tej niezmiennej przez wieki uprawie ziemi przez Polaków w całym Nadodrzu jest coś równie potwornego, jak w tych kamieniołomach Matthausen czy Buchenwaldu, gdzie w miejsce Polaków zmarłych przybywali wciąż nowi Polacy żywi, z wiślańskiego matecznika.

3

Patrzę w uczciwe oczy Franciszka Ciupki, sekretarza Związku Polaków na powiat gliwicki, spotkanego po tylu latach i słucham, jak opowiada o swym trzy i półrocznym pobycie w obozie Buchenwalde wraz z tysiącami Polaków z Opolszczyzny. Mówi o tych, którzy tam jeszcze przebywają, mówi o tych, którzy stamtąd już odeszli. O szlachetnym Stanisławie Weberze, o Franciszku Myśliwcu, siedemdziesięcioletnim gospodarzu ze Sprzęcic (jest jego portret Wyspiańskiego p. t. „Solski w Warszawiance"), który to będąc prezesem Związku Polaków na Śląsku odmawiał wyjścia z obozu przed zwolnieniem reszty jego ziomków; o Stanisławie Olejniczaku, profesorze bytomskiego gimnazjum, który zamyślał napisać książkę o Buchenwaldzie, p. t. „Leichenträger an's Tor!" Zwyczajem bowiem było porannym, że przy apelu takim hasłem wywoływano dyżurnych przed bramę, poczem następowało wynoszenie trupów z baraków i kaźni do krematorium. Przesuwa się litania nazwisk znanych, bliskich, najmilszych, które ożyją już tylko w pamięci, nigdy w życiu.

W opowieści Franka nie ma mdłego cierpiętnictwa, jest raczej przyćmiony uśmiech nad bólem minionym, który wydaje mu się czymś dalekim, nieistotnym wobec bólu dnia dzisiejszego. Te wszystkie kamieniołomy buchenwaldzkie, pomorskie, wrocławskie, opolskie — to już historia. Niezapomniana, ale i mało czytana dziś, wobec faktów gorzkiej prawdy teraźniejszości.

Działa w Katowicach Komitet Obywatelski Polaków Śląska Opolskiego, złożony z garstki dawnych działaczy Opolszczyzny. Pordzik, Kłaka, Ciupka, Tkocz, Kośny, Kubis, Nantka, Affa, Klima, Jarasz, Markwart, Wiesiołek, Koszyk, Demarczyk, Kałuża, Zmarzły i inni. Wszystko dobre śląskie nazwiska. Przez biura Komitetu codziennie przewija się kilkaset ludzi, a większość to uchodźcy z Opolszczyzny. Uchodźcy dwojacy: jedni z 1921 — popowstaniowi, poplebiscytowi; drudzy to z 1945. Biura Komitetu to chyba najtragiczniejsza spowiednica ludzkiej rozpaczy.

Ci z 1921 potracili najbliższych, przeszli obozy, więzienia — za zbrodnię powstania sprzed 20 laty. Ci z 1945 to sama esencja krzywdy, esencja zdolna zabić tysiące ludzi, tylko nie ich, rodzonych pokoleniami w krzywdzie. Ci powstańcy mieli choć dwadzieścia lat polskiej państwowości, złej czy dobrej, ale polskiej. Ci pozostańcy nie mieli nic, nawet tej kropli dwudziestu lat na wyschłe gardło swych dziejów. Tamci mieli gestapo lat 5, ci lat 13. Jeśli ktoś nie może wyobrazić sobie siedmiuset lat, niech zrozumie choć te ostatnie lat trzynaście. Dla Krakowa oznaczałoby to żyć pod władzą gestapo do 1952 roku! Rozumiecie?

4

Iluż tych Polaków na Opolszczyźnie? Milion. Cały milion. Plebiscyt — oszustwo siedmiu złodziei. Po plebiscycie sami Niemcy jeszcze w 1926 roku, w podręcznikach szkolnych, stwierdzali, że w Opolskim większość mówi po polsku i jest pod działaniem jadu „Grosspolnischepropaganda". Ludzie nie znający Śląska, którzy widzieli zewnętrzną powłokę, którzy widzieli dygnitarzy partyjnych o polskich nazwiskach, którzy widzieli spisy SA i SS, póki ukazem nie zniemczono nazwisk, głosili rezygnacyjnie śmierć ostatniego słowiańskiego przedmurza. Dopiero trzeba było wojny i ukazania się Franzów Lewandowskich w Warszawie, Rosa Koslowskych w Kra-

Wieża piastowska w Opolu, jedyna pozostałość po zburzonym zamku

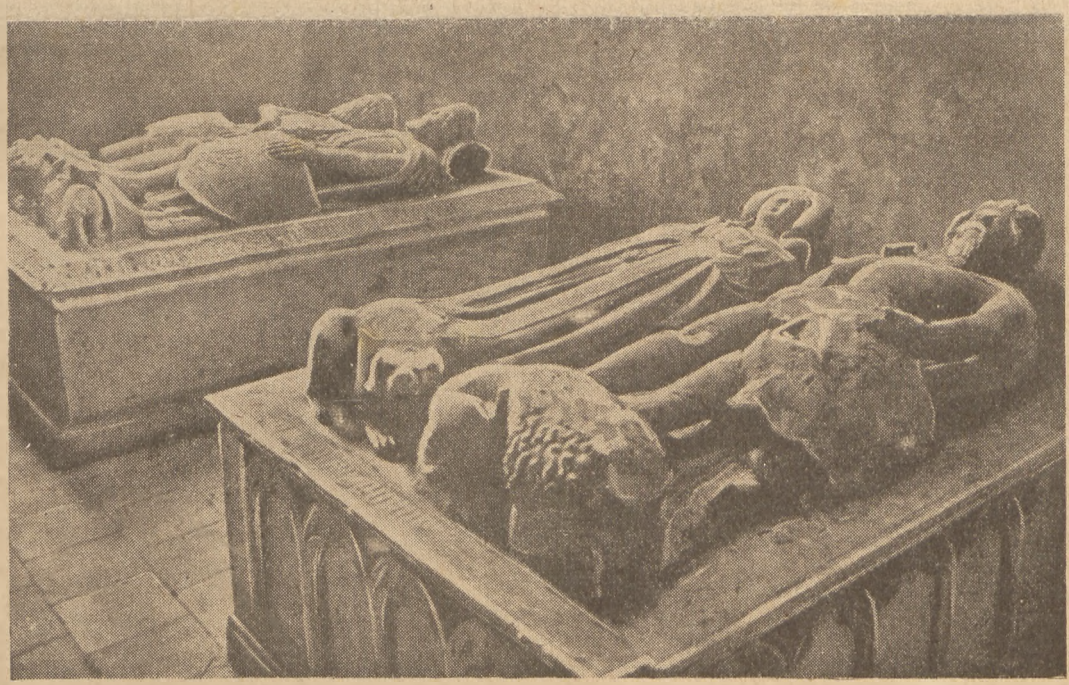

Groby książąt opolskich Bolka I (1281—1313) i Bolka II (1313—1356), oraz Bolka III († 1382) i jego małżonki Anny († 1378), mieszczące się za głównym ołtarzem dawnego kościoła Minorytek

Pod fundamentami zburzonego zamku piastowskiego w Opolu znaleziono dobrze zachowane ślady dawnych budowli drzewnych, pochodzących z wieku X, a będących niewątpliwie zabytkiem polskim

kowie, aby zrozumiano, że volksdeutschostwo jest wrzodzianką, występującą z łatwością i na piersiach i na głowie, a nie tylko na śląskiej dłoni. Wystarczy odrobina głupoty — urzeczenia pychą pruską, albo odrobina gnoju — w charakterze ludzkim. W Kozielskim mówią: „Kaj są ludzie, tam są haźle". Haziel to rodzime słowo na WC.

Kiedy przyszedł wrzesień 39, po sześciu latach gestapo, milion Polaków Śląska Opolskiego czekało wyzwolenia. Pierwsze dni przyniosły stuk kolb po nocy i masowe aresztowania. Bili, tłukli, kazali śpiewać „Wytrwamy i wygramy" i bili, bili do utraty tchu w wypasionych piersiach SS-manów. Potem przyszła noc. W Krakowie, miejscu pielgrzymek opolskich, siedział Frank, w Katowicach Bracht! Nie było wsi, z której by nie pognano ludzi do Buchenwaldu, obozu Polaków Rzeszy. Wróciło ich niewielu i to nie na długo. Po miesiącu, najwyżej dwóch, znów więzienia i śledztwa, a w najlepszym razie koszary Wehrmachtu. Reszta siedzi po dziś dzień. Całą wojnę. Wieki całe.

Jednocześnie szła mobilizacja. Najrodniejszy w całej Rzeszy kraj dawał najliczniejsze młode roczniki. Pod Warszawą, Kutnem i Lwowem rozstrzelano tych, którzy we wrześniu starali się przedrzeć do polskich linii. W Paryżu powieszono tych, co poszli do niewoli, a w błyskawicznym debacle nie zdążyli wytłumaczyć Francuzom paszportu niemieckiego i polskiego serca. To samo w Brukseli, to samo w Amsterdamie. Rodziny aresztowano, wysiedlono do Bawarii, wypędzono na Westfalię. Za każdym żołnierzem z Opolszczyzny biegł na front czerwony paszport gestapo „PV" (politisch verdächtig). Ilu padło na froncie wschodnim od strzału w tył głowy, kiedy próbowali ucieczki na drugą stronę, Bóg jeden zliczył. Żniwo śmierci przez lata 1939—45 w niektórych wioskach rosło do 90 % powołanych.

5.

Wreszcie przyszedł styczeń 1945. Sojusznicze radia (każdy słuchał) nawoływały do pozostania na miejscu. Niemcy ewakuowali przymusowo. Zabierali żywność, aby zmusić do opuszczenia wsi i miast. Ludzie chowali się, kryli po piwnicach, lasach, choć wiedzieli, że będzie głód i umęczenie. Kiedy wyszli z nor, to śląskimi drogami kroczyła Czerwona Armia, w zwycięskim marszu od Stalingradu. Lecz nad Odrą górną front przystanął gotując się do nowego skoku. Zaodrzańskie ziemie polskie Głubczyc, Prudnika, Koźla, Raciborza, najliczniej przez Polaków zamieszkałe, pozostały na długie tygodnie w łapach pruskich zbirów. O tym, co tam się dzieje, słuchać nie sposób, kiedy do Opolskiego Komitetu przybywają uchodźcy, którzy przeszli dwa fronty. Lecz i po tej stronie frontu jest przeraźliwie. Kompanie zniszczenia, hitlerowskie „Vernichtungskommando", spaliły i zburzyły co tylko zdołać mogły. Sam front, tak łaskawy dla Katowic, Sosnowca, Będzina, Dąbrowy, Częstochowy i Krakowa, tu, jakby tej ziemi mało było męczeństwa, przeszedł okrutnie. Niemcy za wszelką cenę chcieli nie dopuścić do Odry armii marszałka Koniewa. Próżny trud, ale obłęd „Herrenvolku" pozostawił krwawe bruzdy.

Wojska sojusznicze od Bytomia poprzez Gliwice, Wielkie Strzelce do Opola witane były biało-czerwonymi chorągwiami. Na zaoranych grobach powstańców zatknięto znów krzyże i okryto wieńcami, po raz pierwszy z napisem: „Tym co oddali życie za Polskę". Po raz pierwszy mogli ludzie zamienić słowo „Śląsk" na pełny wyraz „Polska".

Po wsiach, po miastach tworzyła się polska milicja, komitety obywatelskie Polaków, kopalnie i fabryki zabezpieczyły polskie załogi. Na ulicach pojawiły się afisze polskie i ulotki. Pod Bytomiem w Bobrku czytałem maleńki plakacik, który zabrałem z sobą na wieczną rzeczy pamiątkę. Oto treść:

„Polacy obywatele Bobrku! Ktorzby w tyj poważnyj chwili nie chciał być Polakiem. Zajaśniała nad polską ziemią ranna zorza, chociaż jeszcze huk armatów nad nią się roznosi. Dzięki sile wojsk rosyjskich, które z całą zaciętością odcięły Górny Śląsk od kraju niemieckiego jesteśmy uwolnieni od despotyzmu faszystowskiego. Były kiedyś przed paruset laty czasy, gdzie krzyżactwo wżyrało się coraz to głębiej w ciało słowiańskie. W obecnyj chwili przyszedł odwet. Najdrobniejszy proch ziemi Polskiej wróci do Macierzy. Nie będą nasze matki-Polki rodziły żołnierzy germańskich! Nareszcie zostały wszystkie żale i tęsknoty do polskiej Macierzy uwieńczone rzeczywistością. Ta prastara ziemia piastowska Śląska Opolskiego, ta odrąbana gałązka powróciła pod płaszcz Matki. Od najdowniejszych wieków Śląsk był polskim i pozostał nim bezspornie do dziś. To jest fakt historyczny, to jest prowda, rzeczywistość i naturalne stwierdzynie. Nasza dziatwa powinna być jak najprędzej szkolona w języku polskim. A starsi rodacy będą w normalnych stosunkach dalej pracować, wierni hasłu naszych Ojców i Praojców:

„Tu żyć trzeba i pracować, by Ojczyźnie
ślub dochować,
Siły służyć jej wszystkimi, w ukochanej
naszej ziemi."

Komitet Akcyjny Bobrku."

6.

Na tę radość „uwieńczoną rzeczywistością" padł cień. Oto front przystanął, przecinając Opolszczyznę na pół, na dwa przyfrontowe pasy, pas niewoli i pas wyzwolenia. W zniszczonym wojną kraju krzywdy dzień powszedni stał się głodny, zimny, niespokojny. Nie było nigdy zwyczajem, aby pas przyfrontowy przejmowały władze cywilne. Na przyfronciu obowiązuje prawo wojenne. Władze polskie nie mogły więc natychmiast przejąć ziem opolskich z rąk wyzwolicieli.

I oto mijają dni, tygodnie, a „odrąbana gałązka", rozrąbana frontem na pół, jakby zawisła między niebem a ziemią, między Polską a czarną przeszłością.

W oczach czekających siedem wieków, mówmy prościej: trzynaście lat, jawi się ból i trwoga. Panoczku, może każą czekać rzeczywiście do konferencji pokojowej? A wtedy, czy nie znajdą się nowi lojdżordże? I co? Znów plebiscyty? Znów powstania?

Rozpacz.

Wystarczy dzień posłuchać takich pytań rzucanych przez ludzi, którzy przeszli wszystko i stracili wszystko, aby zrozumieć to morze krzywdy, które przelewa się już dziś każdą kroplą dnia niewłączonego w życie Rzeczypospolitej.

7.

Są prawa wojny. Są prawa wielkiej polityki. Polska oparta o sojusz z potężnym Związkiem Radzieckim przygarnie już niedługo swe ziemie nad Odrą i Nissą. „Najdrobniejszy proch ziemi polskiej wróci do Macierzy. Nie będą nasze matki-Polki rodziły żołnierzy germańskich". To jest równie pewne, jak szybki upadek Niemiec, Prus i Hitlerii.

Ale jak zaszczepić tę pewność człowiekowi, który jeszcze ani jednego dnia w swoim żywocie nie miał pewności swego bytu na swojej ziemi, a tylko sam niepokój?

O cóż ta wojna się toczy? Czy nie o to jedno: o prawo dla pokrzywdzonych?

Rzeczpospolito pokrzywdzonych! Uwieńcz rzeczywistością kraj krzywdy, twój kraj, twój Śląsk Opolski.

Niechaj nastąpi wreszcie „naturalne stwierdzenie".

JERZY ANDRZEJEWSKI

Warszawianka

Dzień był chłodny, a jesienne niebo zaciągnięte na słotę. Tylko raz jeden, wczesnym popołudniem, przedarł się nagle spoza chmur rdzawy poblask. Przez chwilę zdawało się, że pogoda się przetrze. Lecz wkrótce wiatr naniósł strzępy potarganych, szaro-sinych chmur, słońce przyćmiło się i wśród gęstniejącego zmierzchu począł mżyć gęsty deszcz. Aż wreszcie rozpadało się na dobre.

Pociąg, do którego o świcie załadowano w obozie pruszkowskim parę tysięcy wypędzonych z Warszawy ludzi, szedł z nastaniem zmierzchu coraz wolniej. Tory były zajęte wojskowymi transportami, więc kilkakrotnie i na dłużej stawał w polu. Nim zapadła noc, jadący przestali się orientować w okolicy i w kierunku, w którym pociąg zdążał. Wprawdzie platformy towarowe były odkryte, lecz wysokie, węglowym pyłem umazane ściany odsłaniały widok tylko na niebo w górze, rozległe i ciemniejące. Wiatr wśród tej przestrzeni przelewał się, huczał i gwizdał a deszcz ostro i z ukosa zacinał.

Ludzie — mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci — stali jeden przy drugim, stłoczeni tak ciasno, iż nikt się nie mógł poruszyć. To podtrzymywało słabnące siły. Podróż trwała już ponad dwanaście godzin. Cierpki odór wydzielin, zmieszany z wilgocią przemokniętych ubrań, tamował oddechy. Grzano się bliskością raczej, niż ciepłem towarzyszy. Omdlałe ramiona wspierały głowy opadające ze znużenia. Ustały już rozmowy. Nikt się nie śmiał i nikt nie rozpaczał. Zmęczenie stępiło nędzę. Gdzieś w odległą, głęboką i prawie nierzeczywistą otchłań zapadły się wrzące łuny pożarów i czarne dymy. Ginęły wśród dna mrocznego skamieniałe salwy karabinów, huk armat i detonacje bomb, gwizd pocisków, trzask granatów, łoskoty walących się w kurzawie pyłu domów, a twarze i głosy, dłonie wzniesione i usta otwarte do krzyku, wnikały w krainę cieni, w ogromną noc, w której pustych przestrzeniach wraz z dniami ostatnimi, złączona z nimi, choć niepojednana, konała cała przeszłość, wszystkie jej strzępy niosące z zatraconych czasów: jednym — kleistą zieleń listków jakiejś nagle wspomnianej wiosny, drugim — pierwsze kroki dziecka zostawionego pod gruzami, a jeszcze innym nadzieję i pragnienie, umarłe i bez echa. Była cisza. Niekiedy znagła odmienionym rytmem, dźwiękiem rozleglejszym i wyższym, zadudniły w dole pod pociągiem wiązania mostów. Kiedyindziej wpadano w łoskot pociągu biegnącego w przeciwnym kierunku. Na postojach zalegała cisza jesiennej równiny. Czasem wśród nieruchomych i milczących ludzi zapłakało dziecko. Deszcz padał coraz gęstszy, a chłód był coraz przenikliwszy.

Już wśród ciemności, na nieznanej stacji, której światła przenikały poprzez mrok i deszcz nikłą, mglistą poświatą, cofnięto pociąg na bocznicę. Tory tu były puste i wygaszone a stacja musiała zostać daleko, bo żaden odblask nie rozjaśniał rozpostartej ponad platformami nocy. Gdy nieopodal przejechał parowóz, snop iskier rozsypał się w ciemnościach i zagasł, nim zdążył ktokolwiek wychwycić z mroku rysy najbliższego towarzysza. Potem, tu i tam, nisko przy nasypie kolejowym błysnęły smugi latarek. To konwojujący transport żołnierze chodzili wzdłuż wagonów. Bardzo wyraźnie było słychać ich ciężkie kroki. Skrzypiał żwir. „Hans!" — krzyknął jeden z żołnierzy. Inny odpowiedział zdaleka. Chrapliwe, gardłowe głosy zabrzmiały krótko i obco. Jeszcze drżała nimi chlupocząca deszczem cisza, aż znów zasklepiła się zamarłą przestrzenią. W głębi nocy zaniosło wysokim gwizdem lokomotywy. Stojący na bocznicy pociąg robił wrażenie opustoszałego.

Na jednej z platform umierała kobieta. Jej mąż zginął pod gruzami trafionego bombą domu. Syn zginął na barykadzie. W zasypanej piwnicy odgrzebano tylko ją jedną żywą. Miała na sobie koszulę i męski, postrzępiony letni płaszcz. Skonała bezgłośnie prawie i młoda dziewczyna, która przytrzymywała ją w ramionach, przeoczyła chwilę śmierci. Gdy tamta umierała, tej majaczył się w gorączce półsen: szła wyludnionymi ulicami, wśród nieznanych wielkich kamienic i ogromnych placów, których nigdy nie widziała. Im dalej szła w głąb miasta, tym bardziej czuła się zagubiona i smutna. Nagle usłyszała za sobą kroki. Obejrzała się, ujrzała męża. Chociaż nie widziała go od początku powstania, nie zdziwiła się. „Gdzie jesteśmy, Janku?" — spytała. Miał na sobie długi płaszcz żołnierski, a na głowie hełm. „Przecież to Warszawa" — odpowiedział. „Nie, nie!" — zawołała. I poczęła biec. Biegła długo, aż znalazła się na rozległym i jak wszystkie ulice, pustym placu. Dokoła ciągnęły się kwietniki i zieleńce. „Janku, Janku..." — bezradnie obejrzała się za mężem. Szedł ku niej uśmiechając się. „Kochanie, — powiedział — już zapomniałaś Warszawę? Popatrz, idziemy Krakowskim Przedmieściem, tam stoi Zamek..." Zakryła wtedy oczy dłońmi i zaczęła płakać.

Na innej platformie, tak uciszonej jakby wymarłej, mężczyzna oparty plecami o wilgotną ścianę wagonu słyszał nieopodal ściszone głosy. Zrazu nie mógł rozpoznać, kto z jego bliskich rozmawiał. Daremnie wytężał wzrok, aby wychwycić z ciemności zarysy najbliższych twarzy. Od pierwszego dnia powstania szukał matki i żony. Gdy dotarł po paru tygodniach do domu, znalazł tylko zgliszcza. I naraz ogarnęła go pewność, że od żony oddziela go tylko stojący obok wysoki mężczyzna. Całym sobą czuł jej bliską obecność. Chciał się poruszyć, wyciągnąć rękę. Nie mógł. „Najmilsza, — szepnął — najmilsza moja..."

Blisko przy wagonie rozległ się krótki wystrzał. Za nim drugi i trzeci. Szesnastoletni chłopiec, który przed chwilą zsunął się był z lory na kolejowy nasyp, zachwiał się i twarzą upadł w zwilgły żwir. W ciemnościach, rozbłyskujących latarkami, nawoływali się żołnierze.

„Jaką mieć nadzieję? — myślał człowiek, który stracił wszystkich bliskich. — Jak żyć? Jak zacząć żyć na nowo?"

Stara, siwa kobieta trzymała w ramionach wnuczka, który przed chwilą skonał. Ciepło drobnego ciałka grzało jej dłonie. Pod zdrętwiałymi palcami czuła delikatne, jedwabiste włoski, a w sobie ciągle żywy, krótki, gwałtowny dreszcz, który wstrząsnął małym, gdy odetchnął po raz ostatni. Chciała modlić się i nie znajdowała słów. Jedno tylko, samotne i bezradne, kołowało w niej uporczywie: „Boże, Boże..." — powtarzała bezgłośnie.

Na drugiej platformie jeden z ludzi daremnie usiłował wyswobodzić rękę. Chciał jednego: oczy zasłonić dłonią. Od dłuższego czasu widział swoją ulicę w kłębach dymu, strzępy murów objęte ogniem, wysokie i puste okna zawieszone ponad wirem płomieni. Tego obrazu nie zmazywała ani noc, trwająca dokoła, ani ciemność, w którą uciekał, zaciskając powieki. Już kilkakrotnie szarpał gwałtownie ramieniem. Człowiek obok cicho jęknął. Znieruchomiał więc. Czuł, że każdym swoim nieostrożnym poruszeniem sprawia temu nieznanemu towarzyszowi dotkliwy ból. Otworzył oczy, lecz noc dokoła, podobnie jak jego własna, dygotała tymi samymi łunami. Bliżej, jak gdyby wsparte o niewidzialne głowy stłoczonych ludzi, wyrastały szczątki rozbitych barykad. W oślepiającym blasku biły w górę kłęby płowego dymu. Żaden ludzki głos nie wnikał w pożar. Noc płonęła bezgłośnie całym swoim ogromem i głębią.

Nieopodal niemowlę zapłakało głośno przy pustej piersi matki. „Tss, maleńki!" — usiłowała uciszyć żałosny płacz. Wiedziała, że za kilka godzin to wątłe ciałko uciszy się na zawsze. Dziecko kwiliło coraz głośniej, coraz bardziej rozdzierająco. W ciszy, jaka panowała, rozchodził się ten płacz na wszystkie platformy. Słyszano go najdalej.

Na ostatniej lorze młody, wysoki mężczyzna, wspiął się nagle na palce i dłońmi uchwycił krawędzi ściany. Dosięgnął jej. Chwilę nadsłuchiwał. Kroki wartującego żołnierza oddalały się w głąb ciemności. „Teraz!" — pomyślał. Podźwignął się w górę. Daleko jarzyły się przyćmione słotą światła. W dole ciemniał mrok. Skoczył na oślep. Potknął się. Ale nie upadł. Pochylony przebiegł kilka kroków. Przeskoczył jeden tor, drugi. Jakieś druty. Przesunął się pomiędzy nimi. Nasyp. Mokra, grząska ziemia. Wolność, wolność!

Na środkowej platformie ocknął się ktoś nagle z krzykiem przerażenia z krótkiego snu. Człowiek ten przed kilkoma dniami spędził dwie nieskończenie długie doby w zasypanej piwnicy. Chciał się z niej teraz wydostać. Dusił się w ciemnościach, które miały ciężar ziemi i cegieł. Naraz poczuł na twarzy chłodne, wilgotne krople deszczu. Oprzytomniał i począł się śmiać.

Od strony stacji zbliżał się turkot pociągu. Przeszedł sąsiednim torem. Jego łoskot gwałtownie roztrącił ciszę. Długo jeszcze słychać było oddalający się turkot. Ścichł wreszcie zupełnie i obszar nocy odzyskał spokój. Deszcz teraz padał mniejszy, mżył zaledwie. Wilgotna mgła nasycała noc. Wiatr nacichał, podźwignął się wyżej i tam, u sklepienia ciemności, potrącał je z szumem.

Dwoje młodych, dziewczyna i chłopiec, którzy ślub wzięli w pierwszych dniach walk, stali przytuleni do siebie, trzymając się za ręce. Oboje wiedzieli, iż wkrótce zostaną rozdzieleni. Myśleli więc o owym przyszłym nieznanym dniu, w którym z powrotem się odnajdą i na nowo rozpoczną wspólne życie. Dojrzali w ostatnich tygodniach tak szybko, iż nie zatrważał ich czas. Byli jednak jeszcze na tyle dziećmi, iż nie lękali się o swoją miłość jedyną i trwałą, największą ze wszystkich miłości na świecie. Nie widzieli swych twarzy. Odnajdywali je lekkim muśnięciem zziębniętych warg. „Ptaszku, ptaszku mój..." — szeptał chłopiec.

Starzec, którego o parę lat młodsza żona umarła ubiegłej nocy w obozie, szedł cienistą aleją parkową. Dzień był pogodny i ciepły. Mężczyzna miał otwarte oczy. Z głębi nocy, spomiędzy mgły i odpływającego wiatru ciągnęło słodkim zapachem jaśminów. Poblask słońca sączył się przez świeżą zieleń starych grabów i klonów, a niżej prześwitywała niebieska smuga stawu. Szedł dalej i naraz w pełnym słońcu ujrzał młodą dziewczynę, stojącą nad brzegiem wody, przy czerwonej łódce, która lekko się kołysała. Dziewczyna miała na sobie białą muślinową suknię, a na głowie słomkowy żółty kapelusz z szerokim rondem. W ręku trzymała niebieską parasolkę i końcem jej kreśliła na piasku niewidzialne koło.

„Cóż bardziej nad cierpienie łączy ludzi?" — myślał samotny człowiek. I czuł się mniej nieszczęśliwy, ponieważ wierzył w litość i w dobroć.

„Nie chcę niczego żałować, — myślał człowiek inny. — Chcę tylko pamiętać. Chcę żyć".

Jeszcze inny człowiek, chłopiec ledwie dojrzały, myślał o towarzyszach walk, poległych i żyjących, o tych wszystkich jak on rozpoczynających życie, z którymi dzielił był nadzieję, gorycze i zawody, a także braterstwo. Coraz jaśniej pojmował, że chociaż pozostawił w gruzach rodzinnego miasta wiele złudzeń i wiele prawd i zawołań skruszonych niepowrotnie, ta więź braterskiej wierności, ocalona od zniszczenia, pozostała tak samo czysta i żarliwa, jaką była wobec śmierci. I naraz zadźwięczała mu niespodziewanie w uszach melodia, która niedawno o wczesnym świcie, wśród obstrzału ciężkiej artylerii, gwizdu pocisków, i ogłuszających detonacyj zabrzmiała nagle na barykadzie starego miasta. Zaśpiewał ją przyjaciel, młody robotnik, w parę sekund później zabity odłamkiem pocisku.

„Oto dziś dzień krwi i chwały,
Oby dniem wskrzeszenia był..."

Natychmiast podchwycili melodię inni młodzi. Nieopodal rozrywały się granaty i sypał się terkot pocisków cekaemu. Śpiew potężniał, niósł się coraz ogromniej i mocniej. Słyszał teraz w sobie ten sam śpiew nadziei i walki, śpiew nowego życia. Ktoś upadł. To Staś. „Głupstwo!" — szepce uśmiechając się. Spod ciemnych włosów spływa mu na twarz wąski strumyk krwi. Nachyla się już nad nim Krystyna. Jak wyraźnie zarysowuje się w ciemnościach nocy jej delikatny, jasny profil. Pociski padają coraz celniej. Dym kłębi się dokoła. Obok płonie dach domu. Ulica jest wąska. Ogień zapala niebo. Z wysoka, z niewidzialnego okna, bije karabin maszynowy. Śpiew ciągle słychać.

„...kto przeżyje, wolnym będzie,
kto umiera, wolnym już..."

Bezwiednie, nie zdając sobie sprawy co czyni, zanucił półgłosem, prawie szeptem:

„Oto dziś dzień krwi i chwały..."

Ktoś drgnął obok. Ktoś otworzył oczy. Ktoś westchnął. Dokoła poruszać się poczęli ludzie i szmer przeszedł aż po najdalsze, zamarłe i wśród nocy zagubione platformy. Melodia zabrzmiała nikle, lecz cisza wydźwignęła ją i rozniosła. Nasłuchiwano.

Deszcz tymczasem ustał całkiem, mgła się przerzedzała i ponad nią, bardzo wysoko u sklepienia nocy, wyłaniać się poczęło z ciemności czarne, dalekie i jeszcze bezgwiezdne niebo. Pod nim zaś, z głębokości, jak gdyby z samej ziemi, uciszonej i niewidzialnej, wznosił się nikły śpiew nadziei.

ADAM WAŻYK

Uwagi o Norwidzie i norwidyzmie

DWUZNACZNA AKTUALNOŚĆ

W artykule „Wspomnienia o życiu umysłowym w okresie konspiracji", ogłoszonym w nr 6—7 „Odrodzenia", Stefan Żółkiewski, opowiadając o metodach kształcenia młodzieży demokratycznej w Warszawie zaznacza, że dla określonych celów młodzi poeci kształcili się na Norwidzie, sięgali do jego poetyki, aby zwalczając w sobie grozę terroru niemieckiego znaleźć dla niej opanowany wyraz. Idzie tu naturalnie o pewne cechy stoickie Norwida, które można dojrzeć w samej tkance utworów poetyckich. Innymi słowy wykrywano te naturalne związki, które wbrew różnicy idei religijnych i moralnych łączą Norwida z jego rówieśnikami, francuskimi parnasistami, z ich stoicyzmem, niekiedy również programowym.

Cele, o których wspomina Żółkiewski, były doraźne i bardzo ograniczone. W praktyce poetyckiej ukazuje się za nimi szersza perspektywa. Praktyka wielu poetów przed wojną ujmowała zjawiska tego świata bez określonego kierunku i sensu, bez dyscypliny moralnej. Ta praktyka obecnie ma się ku końcowi, poszukuje się więc w tradycji poetyckiej przykładu wybitnie etycznego stosunku do rzeczywistości. Ta intencja jeszcze przed wojną zbliżała do Norwida niejednego poetę. Jakie stąd wynikały korzyści? Moralny charakter obrazowania i cała dyscyplina poetycka Norwida ma określoną tendencję, którą trudno oddzielić. W praktyce przykład stawał się wzorem, Norwid nie uczył, ale wciągał.

Skądinąd wiadomo, że w innych kołach warszawskich pod okupacją bodajże jeszcze żywiej interesowano się Norwidem. Był to znowu ciąg dalszy przedwojennej norwidomanii, która w niewielkim coprawda promieniu oddziaływania, miała przecież jednoznaczny sens polityczny. W czasach sanacji wygrywano Norwida przeciw Mickiewiczowi. Poczciwi profesorowie uważali to windowanie „Promethidiona" za taką sobie modę. Bo rzeczywiście była taka sobie moda, żeby nie przeciążać umysłów młodzieży tradycją ruchów niepodległościowych, jako że te ruchy zawsze łączyły się ze światem postępu i demokracji, taka sobie moda, żeby przytłumić blask romantyzmu polskiego, który tym się akurat spośród innych romantyzmów wyróżniał, że przeważał w nim ogromnie nurt demokratyczny. Nieporęczny był dla sanacji Mickiewicz, który wyrwał się z pęt towiańszczyzny i w zapędzie postępowym dogalopował do sformułowań socjalistycznych. Mickiewicz był nieaktualny. Mickiewicz nie miał-ci gotowej koncepcji państwa, społeczeństwa, nie miał prawdziwej idei narodowej. Natomiast u Norwida dopatrywano się idei bardzo jakoby nowoczesnych, choć nie we wszystkim, ale w znacznej części przeczuwających „Ozon". Czego mu brakło do tej nowoczesności, to uzupełniał Brzozowski.

W kołach demokratycznych ucierało się przekonanie, że dla demagogicznych celów reakcja fałszywie interpretuje Norwida. Sądzi się na ogół dziś jeszcze, że twórczość Norwida na tle swoich czasów stanowi trudny do rozsupłania splot tendencji reakcyjnych i postępowych, że jednak te drugie przeważają. Naturalnie, wiele będzie u Norwida sprzeczności, chociaż nie tak wiele jak u romantyków. Sanacyjni esseiści nie wypaczali górujących u Norwida tendencji, tylko że podawali je za prekursorskie, wyprzedzające epokę, wieszcze, prawdziwie przydatne dla narodu w naszych dopiero czasach. Dyskontowano samotność Norwida. Jakoby dla poglądów swoich był odepchnięty i niezrozumiany. Snuto jego rodowody w dziedzinie ducha, traktując literaturę tak właśnie, jak sam Norwid traktował historię — jako dzieło odosobnionych wielkich duchów.

Ta cała napuszona nędzota myśli grasowała na tle spustoszenia, dokonanego w humanistyce przez Brzozowskiego. Skwapliwie skorzystano z tego, że stare, poczciwe, ale stosunkowo solidne metody badania, przejęte od Taine'a, nie mogły przegryźć tak niewyraźnego zjawiska, jak twórczość Norwida, kryjąca się poza nurtem romantyzmu polskiego, a nie pokrywająca się z pozytywizmem.

We wrzawie przedwojennej norwidzistów ginęły głosy trzeźwiejszych krytyków literackich, którzy, jak Manfred Kridl, wskazywali, że wartość Norwida w naszej kulturze zasadza się na kilkunastu utworach, ale utworach niepospolicie pięknych. Tym większe mają znaczenie, że po romantykach na dłuższy czas tylko one stanowią żywy, przejmujący dzisiejszego czytelnika dorobek, tylko one wnoszą nową, inną naturę wyobraźni, wzbogacającą doświadczenie poetyckie.

Rzeczowa krytyka powinna wyświetlić podobieństwa między Norwidem a parnasistami na tle drugiego cesarstwa. Tu znalazłby się klucz do wielu nieznanych na naszym gruncie tendencji, które odkrywcy Norwida w okresie Młodej Polski opacznie ujmowali. Ale nasamprzód trzeba przywrócić Norwida jego epoce, ile że każdy pisarz jest tylko dzieckiem swojej epoki, choćby się matki wypierał jak Norwid.

LOS I POGLĄDY

Norwid pochodził z drobnej niezamożnej szlachty, podobnie jak Mickiewicz. Drobna szlachta polska wydawała wielu przywódców i uczestników ruchów wolnościowych, rewolucyjnych, równocześnie rodziła inteligencję zachowawczą. Drobna szlachta miała bowiem dwoisty charakter socjalny. Sytuacja ekonomiczna zbliżona do chłopstwa, swoboda ruchu, dostęp do oświaty — to predystynowało młodzież z tej warstwy do orientacji postępowej, ale rzesze drobnoszlacheckie, uzależnione od wieków od magnaterii, służące jej za narzędzie w rozgrywkach sejmowych i sejmikowych, stanowiły podporę sił reakcyjnych. Drobny szlachcic miał swoją fałszywą dumę. Wpatrzony w magnata, który go wspomagał, schlebiał sobie, że magnatowi zależy na jego kresce. Niejednokrotnie czuł się jego familiantem, świetność jego uważał za swoją, zwłaszcza jeśli mógł się pochwalić, że mają wspólny klejnot w rodowodzie.

W okresie poprzedzającym rozwój przemysłu w Polsce, zanim życie gospodarcze zaczęło przybierać nowe kształty, warstwa ta wydawała oficjalistów i urzędników powiatowych, inteligencję w typie tradycjonalistycznym, zachowawczą i klerykalną, odłam społeczeństwa nie najgorliwszy dla sprawy powstań narodowych, a dla radykalnych nurtów tej sprawy co najmniej niechętny. Ojciec Norwida, urzędnik carski, otrzymał świadectwo lojalności w czasie powstania listopadowego. Nie jest to wcale okoliczność ważna, bo poszczególne jabłka mogą paść daleko od jabłoni. W statystyce, którą życie przeprowadza, Norwid nie znalazł się jednak po stronie zradykalizowanej mniejszości. Burza listopadowa przewaliła się nad jego głową, kiedy był młodym chłopcem. Zjawił się w warszawskich salonach literackich w okresie stagnacji niewiary w powodzenie przewrotów zbrojnych wśród inteligencji, która zwątpiła w wyzwolenie polityczne, a jeszcze nie wciągnęła się w prąd pozytywizmu. W warszawskich salonach, a i później także, Norwid pozował na arystokratę. Ten snobizm, jakbyśmy powiedzieli dzisiaj, nie był wywołany doraźnymi okolicznościami, był mitem własnym, który lata późniejsze zaprawiły goryczą. Żałosna pycha drobnego szlachcica nie wzdragała się przed tytułem „hrabiego". Gdyby kto pisał „vie romancée" Norwida, miałby pokusę dopatrzeć się predyspozycji stanowej nawet w jedynej miłości Norwida. Kochając się w niedosiężnej pani Kalergis, idealizował ją sobie jako arystokratkę feodalną. Ironia losu, a raczej fatalizm społeczny zechciał, żeby pani Kalergis doskonale radziła sobie w nowym plutokratycznym świecie, a rzekomemu potomkowi Sobieskich po kądzieli wypadło przez całe prawie życie korzystać z łaski jakichś dalekich protektorów, albo posłusznie tłuc kamienie.

W latach późniejszych, mieszkając w Paryżu Norwid nieraz stwierdzał swoją przynależność do inteligencji. Był rzeczywiście inteligentem bezużytecznym albo po prostu bezrobotnym, konserwował przy tym na obcym gruncie swoje cechy drobnoszlacheckie. Roszczenia arystokratyczne przeniósł z biegiem czasu w dziedzinę ducha, co bardziej wpływało na formę jego wypowiedzi, niż na treść poglądów. Zbliżenie z Krasińskim, luźne co prawda, ale jedyne na tle literackiego życia na emigracji, stanowiło nową postać dawnej konfiguracji magnata i drobnego szlachcica, który tymczasem zszedł na pozycje drobnomieszczańskie.

Hrabia Henryk był wrogiem burżuazji, która niszczyła feodalizm i wrogiem ruchów ludowych, plebejskich czy chłopskich, które w tym czasie przede wszystkim szturmowały reduty feodalizmu. Był więc reakcjonistą z powołania i tylko sprawa narodowa mogła wywoływać zamęt w jego poglądach. Okres był burzliwy: 1846, 1848, 1863, 1871. Walki o wolność narodów splatały się z ruchami rewolucyjnymi, wysuwała się nowa klasa społeczna — proletariat miejski. Na falach tych ruchów pozycja postępowych romantyków polskich wikłała się i zmieniała. Norwid zajmował pozycję prawie niezmienną, bo nigdy nie stawał po stronie sił postępowych. W walce o zjednoczenie Włoch wystąpił czynnie jako papista. Do ruchu niepodległościowego w kraju miewał zawsze rozmaite zastrzeżenia, przejmował się losem tragicznym, nie porywała go walka. Jakoby sprzyjał Wiośnie Ludów, ale Mickiewicz był dlań zbyt rewolucyjny. Powstania 1863 r. nie pochwalał, a skoro wybuchło, uwielbiał „białych". Na jedno reagował silnie i pięknie, na walkę o wyzwolenie Murzynów. Forma gospodarki w południowych Stanach, oparta na niewolnictwie była tak archaiczna dla Europejczyka, że zaiste trudno było nie sprzyjać temu ruchowi. Sam zresztą pisze o Johnie Brownie: „...bo ubiegnie długo, nim się buntownik tak umiarkowany narodzi światu"... Naturalnie, i Norwid podlegał wolnościowym podmuchom, ale wrogi lub co najmniej niechętny wszelkiemu dążeniu do zmian społecznych, zalecał modlitwę i pracę we wszystkich okolicznościach, głosił „doskonalenie się wewnętrzne", co w życiu politycznym oznacza po prostu — uległość. Operował przy tym argumentem religijnym i moralnym, nie dorzucając argumentu tradycji, jak to robił autentyczny feodał hrabia Henryk. Ostrzegał posiadaczy, apelował do ich sumienia, podczas gdy socjaliści utopijni odwoływali się do rozumu.

Samotny w życiu towarzyskim i literackim, Norwid wcale nie był osamotniony w swoich poglądach społecznych i politycznych. Tak samo jak on myślało wielu uchodźców polskich, pochodzących z drobnej szlachty i zmieszanych z drobnomieszczaństwem francuskim i niemieckim. Pokrewieństwo losu łączyło wytrąconych z siodła uchodźców z tą warstwą francuskich drobnych przedsiębiorców i chłopów, która traciła samodzielność gospodarczą w konkurencji z rozwijającym się przemysłem, przekształcała się w rzeszę drobnych urzędników, biuralistów, inteligencji uzależnionej od nowego pana, a parweniusza od bogacącej się burżuazji. Warstwa ta patrzyła krytycznym okiem na rozwój gospodarki burżuazyjnej, wzdychała do dawnych czasów, chętnie widziałaby zahamowanie przemysłu fabrycznego, a ruchów ludowych bała się panicznie, jako że mogły zachwiać jej pozycją i tak już nie wesołą. W Niemczech, gdzie przemysł kapitalistyczny z opóźnieniem rozrywał więzy feodalne, drobnomieszczaństwo mające jeszcze charakter grodowy, z tym większym strachem patrzyło na gospodarcze panowanie burżuazji i na powstania robotnicze. Orientowało się na utrzymanie istniejącego stanu rzeczy i — na ostatecznym szczeblu życia duchowego — wydawało tę straszliwą, stęchłą, idealistyczną filozofię niemiecką, która zatruwała atmosferę umysłową nie tylko pierwszej połowy dziewiętnastego stulecia. Filozofia tych poheglowskich szkół niemieckich, której Norwid dał do siebie szerszy dostęp niż romantycy, łączyła się z koncepcjami religijnymi, mistycznymi. Przy okazji warto sobie uprzytomnić, że prawie do 1848 r. religijne było nieomal wszystko, co nie było po stronie urastającej w siłę burżuazji.

Warstwa drobnomieszczańska i drobnochłopska we Francji stosowała swoją miarkę w krytyce kapitalizmu. Marząc o dawnych czasach, tęskniła do ustroju cechowego w przemyśle rękodzielniczym i do gospodarstwa patriarchalnego na wsi. Westchnienia i bezwolne narzekania tej warstwy jeszcze przed 1848 rokiem wykrystalizowały się w tej formule reakcyjnej i utopijnej. Na ślady tych nastrojów wyraźnie naprowadza literatura polityczna tego okresu. Te same poglądy Norwid po raz pierwszy wyłożył w „Promethidionie" w 1857 roku, więc dosyć późno.

FORMUŁA SPOŁECZNA

Skarżąc się we wierszach i prozie na wszechwładzę pieniądza, na produkcję fabryczną, industrializację, maszynę, wielkie fabryczne miasto, Norwid nie wnikał w istotę znienawidzonych form życia gospodarczego, jego krytyka nie miała żadnych prawie cech realistycznych, żadnych właściwości balzakowskich. Naturalnie, do poety nie można mieć o to pretensji. Zdobył się na kilka ostrych aktów potępienia („Spartakus" pomimo dwuznacznego komentarza), na kilka zastanawiających błysków ironii. Fragmentaryczne i rozproszone obserwacje Norwida porównywało się u nas z ciętą ironią Tomasza Carlyle'a, przyznając oczywiście Norwidowi szersze horyzonty. Tomasz Carlyle, polityk, konserwatysta z grupy Disraelego, pisząc pamflet na gospodarkę burżuazyjną dawał groteskowy obraz obiegu towarowego. Hyperboliczna krytyka Carlyle'a ma długotrwałą wartość literacką. Norwidowskie szerokie horyzonty zawierają niestety bardzo mało treści. Wszelkie porównania Norwida z wielkimi krytykami świata kapitalistycznego na Zachodzie będą wypadały na jego niekorzyść, bo przybysz z kraju zacofanego gospodarczo nie przeniknął do tego świata, jak tamci. I nie mógł zdobyć, jak tamci, odpowiedniej metody i środków literackich, które znowu ci moraliści zawdzięczali — aczkolwiek wyda się to paradoksalne — postępowi nauk przyrodniczych, form artystycznych, ogólnej kultury. Na to, aby objąć ówczesny Zachód, Norwid był jeszcze nazbyt sarmacki.

Drobny szlachcic polski, którego los złośliwy przeniósł do Francji Ludwika Filipa i Napoleona III, gdzie kapitalizm osiągnął pełnię rozkwitu i zaczął już okazywać tendencje rozkładowe, widział przed sobą:

„Konwulsje dwie i dwa obrazy:
Zakupionego z góry nieba,
Lub fabrycznej ekstazy
O kęs chleba."

Bogacący się przedsiębiorcy i robotnicy zatrudnieni we fabrykach stanowili dla Norwida, jak zresztą dla większości poetów znacznie później, jeden nierozdzielny kompleks, przykry dla oka i ducha. Zamiast dwóch sił, które weszły już ze sobą w jawną walkę w 1848 roku, Norwid widział jeden zatarty obraz wrogiej, odpychającej cywilizacji miejskiej, świat nie zmierzający w żadnym kierunku, chaotyczny i bezsensowny. Przeciwstawiał się temu światu jakoby mechanicznemu, gloryfikował pracę, którą pojmował jako zaprzeczenie pracy fabrycznej. Była to praca albo na roli, albo wyrobnicza, rękodzielna, rzemieślnicza. Łączył ją z pewnym dość określonym ideałem społeczeństwa stanowo-cechowego, opartego na zasadach moralno-chrześcijańskich. Opoką miał być „lud", czyli chłopstwo. W ramach takiego ustroju praca miała być obowiązkiem religijnym, społecznym, narodowym.

Naturalnie, ideał ten był wypiękniałą reminiscencją ustroju zburzonego przez kapitalizm, może zresztą i osobistym mitem dzieciństwa spędzonego w ubogim, ale schludnym dworku szlacheckim. Najbardziej rozbudował sobie Norwid sferę rzemieślniczą, włączając w to twórczość artystów. Stale obracał się w kręgu rozważań o mistrzu-rzemieślniku i artyście. Odstręczony od świata rzeczywistego, wyznaczał sobie godziwe miejsce w tym utopijnym świecie.

Autor „Promethidiona" uważał lud za podstawę społeczeństwa, a mówiąc „lud", miał prawie zawsze na myśli chłopów. Szkoda tylko, że nigdzie nie można znaleźć u Norwida wzmianki o tak konkretnej sprawie jak pańszczyzna, która we Francji dawno zniknęła, a w Polsce w zaborze carskim utrzymywała się jeszcze, żywiąc na emigracji hrabiego Henryka. Nie wiadomo, z jakiego palca wyssali sobie norwidziści twierdzenie, jakoby autor „Częstochowskich wierszy", jedynych bodaj w jego twórczości motywów ludowych, w których zresztą jest więcej sielanki, niż charakteru chłopskiego, wkładał bardziej konkretną treść w pojęcie „ludu", niż Słowacki, a nawet bardziej, niż Mickiewicz! Może to i prawda, że Słowacki nie zawsze zdawał sobie sprawę, co to za żywioł, który nazywa ludem, ale zawsze łączył go z myślą o wolności i zawsze był to straszak na hrabiego Henryka. „A tyś się zląkł, syn szlachecki!" Norwid krytykował romantyczne metody korzystania z motywów ludowych i opacznie te metody rozumiał. Wykładał alegorycznie „Balladynę", o Alinie mówił: „Jest to właśnie że kryształ sam najczystszy tego wielkiego i bezwyraźnego pojęcia, który nazywamy słowem lud" Ten wykład charakteryzuje stan jego pojęć: Alina będzie alegorią ludu, a lud — bodajże alegorią, czy upostaciowaniem jakiejś narodowej czy uniwersalistycznej idei. Wiele uczonej spekulacji można znaleźć u Norwida na temat ludowości. Nie odpowiada jej prawie żadna praktyka poety.

POSTULAT PRACY

Naiwny czytelnik mógłby zapytać, jak się to stało, że praca, która miała być obowiązkiem społecznym w wymarzonym ustroju, stawała się synonimem posłuszeństwa i pokory w nienawistnym Norwidowi świecie rzeczywistym? Tu pozorna niekonsekwencja przypomina tylko, że u pisarzy nie należy przeceniać znaczenia idei. U Norwida można zresztą znaleźć regulator, który uzgadnia świat marzeń z rzeczywistością: ten regulator to historiozofia Norwida, religijna, zresztą nieoryginalna, która nie liczy się z kategoriami ekonomicznymi i społecznymi, a pozwala mu rozumować tak, jakby jego świat utopijny współistniał z wrogą rzeczywistością, jakby był jej podszewką. Cała współczesna Norwidowi epoka z burzliwymi ruchami społecznymi zmieniała się w niedorzeczne jatki, w których człowiek ginął „prawie przypadkowo", jak ów bohater „Quidama" w upadającym Rzymie, jedynie praca odkupicielska coś jeszcze znaczyła wobec Boga, praca w pokorze ducha. W tej mistycznej formie wyrażała się ostatecznie zachowawczość tego odłamu drobnego mieszczaństwa, który patrzył z przerażeniem na burzliwe ruchy społeczne.

Zdawałoby się na pozór, że tak szlachetny i cenny ideał pracy, przenikający tyle utworów Norwida, powinien odegrać w naszej kulturze rolę postępową. W istocie zaciążył dwuznacznie na wszystkich poetach, którzy w okresie powersalskim szukali u Norwida oparcia czy drogowskazu w tej materii.

W pierwszych latach niepodległości, kiedy drobnomieszczańska inteligencja podlegała silnym prądom demokratycznym, wśród młodych poetów nie było ani jednego miłośnika Norwida. W szczególności nikt nie przejmował się jego postulatem pracy, chociaż poeci szukający sobie miejsca w społeczeństwie, manifestowali swoją solidarność ze światem pracy, lubili powtarzać, że i poezja jest rzemiosłem, mówili o rzemiośle poetyckim. Sentencje norwidowskie leżały tak blisko, a jednak odgradzała od nich przepaść. Dopiero po kilku latach dziwnym doprawdy trafem, bo w tym samym czasie, kiedy sanacja rozpoczęła swój „wyścig pracy", zaczęto sięgać do Norwida. Poeci, pochodzący ze środowiska pół-proletariackiego, szukali u Norwida wskazówki, jak mają swoją pracę poetycką pojmować i jak kształtować materiał. Nie było

wypadku, aby studia nad Norwidem nie działały hamująco na ich tendencje postępowe. Działo się z nimi to samo, co dzieje się u samego Norwida. Postulat pracy oddalał ich od rzeczywistego, współczesnego świata pracy. Pośredniczył w przejściu do ugodowego bezwładu, albo wręcz stawał się pomostem do solidaryzmu społecznego, który sanacja i wszelkie grupy faszyzujące propagowały pod skrzydłami obszarników i karteli.

Może w innej sytuacji historycznej, w prawdziwie demokratycznej Polsce ten postulat pracy działałby inaczej, w duchu postępowym? Idą dni, kiedy naród cały musi zakasać rękawy, aby odbudować państwo. Praca wszystkich warstw, solidarna i poparta poczuciem obowiązku moralnego, będzie dalszym rozdziałem walki o niepodległość. Co więc można wyłuskać z norwidowskiego postulatu pracy, który ma przecież tak wybitnie etyczny charakter?

Ten postulat jest nawskroś przesiąknięty pokorą. Nie ma w nim żadnej nuty wolności społecznej. Wyłuskać z niego można martwe, pięcioliterowe słowo.

MASKARADA

Ustrój cechowy w przemyśle rękodzielniczym i gospodarstwo patriarchalne na wsi — ta formuła drobnomieszczaństwa niszczonego przez nowoczesny kapitalizm powtarzała się niejednokrotnie w prądach społecznych i estetycznych. Przed pierwszą wojną światową odzywała się w utworach dekadentów i dlatego wydawała się nieszkodliwa. Jeden z tych dekadentów, rozczarowany do demokracji, Gabriel D'Annunzio, w 1919 roku stając się rzecznikiem imperializmu włoskiego w jugosłowiańskiej Riece, założył tam republikę cechowo-stanową, poprzebierał nawet rzemieślników w malownicze stroje. Błazeńska maskarada uświetniała maskaradę polityczną. D'Annunzio głosił solidaryzm społeczny, harmonijną pracę wszystkich stanów, tworzył pierwociny ustroju korporacyjnego. Oszukiwał elementy drobnochłopskie i drobnomieszczańskie ich własną, przestarzałą historycznie formułą, po to, aby Rieka pracowała dla imperialistów włoskich. Wkrótce potem zaczął się klarować faszyzm włoski...

Maskarada polityczna była nieodzownym wybiegiem faszyzmu, zwłaszcza w okresie dochodzenia do władzy. Formuła zmieniała się zależnie od układu gospodarczego kraju, dyktatura wielkiego kapitału i obszarnictwa, szukając oparcia w elementach chłopskich, w rozgoryczonych warstwach drobnomieszczańskich, w zrozpaczonych masach bezrobotnych, podawała się za ich obrońcę przed kapitalizmem.

Popierana przez faszyzm włoski reakcja dolfussowska w Austrii uprawiała maskaradę religijno-cechową, stanowo-patriarchalną, zanim pochłonął ją mocniejszy, jeszcze bardziej zwyrodniały faszyzm hitlerowski.

Podobną maskaradą cechowo-stanową reformatorzy z O. N. R. i „ozonu" łudzili drobnomieszczaństwo i masy bezrobotnych, starali się przyciągnąć elementy chłopskie. Głosili solidaryzm społeczny jako wielką ideę narodową — pod skrzydłami obszarników, trustów i karteli.

„Ozon" miał swoją kuźnię ideową. Z dawnej poręki Brzozowskiego wzięto na kowadło Norwida. Autor „Promethidiona" awansował na prekursora, stał się aktualny. Najbrutalniejszą i co prawda śmieszną, ale wymowną propagandą takiej aktualności była książka Mariana Piechala „O Norwidzie" wydana w r. 1937. Piechal wcale nie fałszował podstawowych idei społecznych Norwida. On je tylko wykładał na powierzchnię współczesnego życia. Oto jak ozonowiec argumentował: „Przewaliła się potęga burżuazji kapitału (s i c !). Odsunięte tedy na peryferie historii drobnomieszczaństwo przechodzi teraz w swojej kolejności dziejowej do głosu (s i c !). Tworzy ad hoc własną tradycję... Dzisiejsze drobne mieszczaństwo jako zwycięskie w układzie aktywnych dzisiaj sił dziejowych (s i c)..."

To chyba wystarczy. Jakież to ono było zwycięskie: ubożejące, wyniszczane przez kartele, spychane na dno bezrobocia... Reakcjoniści wmawiali w drobnomieszczaństwo ponurą brednię, że to ono zwycięża, aby zorganizować je dla swoich celów, dla zduszenia sił demokracji.

Utopijne formuły społeczne służyły im do maskarady.

DNO AKTUALNOŚCI WCZORAJSZEJ

Cyprian Norwid w swoich poglądach społecznych nie szedł za postępem swoich czasów, ale doprawdy nie zawinił, że w kilkadziesiąt lat później niektóre jego poglądy stały się formułą przeznaczoną przez reakcję na użytek — bezrobotnych. I znowu straszliwa ironia czy nieubłagana konsekwencja w historii... Bo on jeden z pierwszych wiedział, co to jest bezrobocie. W poszukiwaniu pracy jeździł do Ameryki. Wyłączony z gospodarczego ogniwa produkcji, nieprzydatny i bezużyteczny, stworzył sobie religijny ideał pracy. A tymczasem pod górną warstwą jego pojęć religijnych, moralnych, obyczajowych gromadziły się już zagadkowe idee, nieznane przedtem w literaturze: rola przypadku, ironia koincydencji, mijanie się z losem, bezładność świata, bezdziejowość! Brał je po swojemu, zaprzeczał im, uśmierzał je systemem swoich poglądów. Były to pierwsze odbicia w świecie idei, pierwsze refleksy — postępującego rozkładu bezplanowej gospodarki, które kwitnący kapitalizm francuski w przededniu Komuny kładł na pismach bezrobotnego poety polskiego. Tak, pod tym względem Norwid był już niejako prekursorem okresu wielkich kryzysów i bezrobocia, i wreszcie może nic w tym dziwnego, że poeci tego okresu, osaczeni ideami chaosu, przypadkowości, bezsensu, — szukali sensu, konieczności, porządku u tego, który znalazł ratunek tylko w mistycznej interpretacji świata.

Współczesna demokracja szuka wyjścia praktycznego poza stosunki gospodarcze, na których tle wytwarzały się i kursowały te idee. Na tej drodze poeci nie spotkają się z Norwidem.

ZOFIA NAŁKOWSKA

WĘZŁY ŻYCIA*)

Z tego ostatniego wieczoru, o którym mówił Wysokolski, pamiętał Aramowicz na temat węchu górnego i dolnego taką przypowieść: w czasie pobytu na Syberii widział u jednego zesłańca dwa wyżle szczeniaki, które tamten układał sobie do polowania. Jeden pies był poważny i ciężki, drugi żywy i szalony. Ten poważny węszył z nosem przy samej podłodze tak gorliwie, że jego wdech słychać było w całej chałupie. I po namyśle szedł prosto do chustki, ukrytej gdzieś pod meblem. A drugi, z nosem w powietrzu, biegał, skakał i miotał się długo na oślep, nim wreszcie trafił, gdzie należało.

Opowiedział to dlatego, by wyznać, że sam w swej działalności kieruje się niestety węchem górnym. To odbiera mu przyjemność pracy skupionej, rozprasza myśli i każe opuszczać w rozumowaniu potrzebne ogniwa. „To też sprawia nieraz, — powiedział, — że nagle — hop! i wskakuję na kanapę zamiast pod szafę!"

Ten żart przypomniał sobie z najwyższym niepokojem Aramowicz w kilka miesięcy później, gdy w jego mieszkaniu warszawskim, gdzie zaskoczyły go pamiętne Majowe Dni — zbudził go ze snu nad ranem bliski wybuch granatu, a przez okno ujrzał wytoczoną na plac sąsiedni armatę.

Ale Wysokolskiemu co innego utkwiło w pamięci.

— Słuchaj, — mówił, znów przytrzymując za ramię Aramowicza. — Przypomnij sobie, jakeśmy to zostali sami po kolacji. Całe bractwo już spało na górze, bo mieliśmy wyjazd z samego rana. Była chyba druga po północy i jeszcześmy siedzieli nad herbatą, a Komendant ani myślał o spaniu. Trzymał wtedy w ręku szklankę, podniósł pod światło i popatrzył na niedopitą resztę herbaty. „Mocna", powiedział z uśmiechem, bo lubił tylko mocną. A potem spoważniał i powiada: „Gdybym umarł teraz, to moje życie byłoby, jak ta niedopitą szklanka, niedokończone".

Owszem, Aramowicz przypominał sobie coś w tym rodzaju. Ale nie przywiązywał do tego większej wagi, nie uświadamiał sobie wówczas argumentów tej formuły. Ani wówczas, ani później zresztą, gdy przebieg faktów raczej zaprzeczył tamtej obawie, raczej zdawał się w najwyższym stopniu zaspokajać całą aktywność tej wielkiej, zahamowanej energii. Działo się tak wiele, że rozczarowani wyznawcy nie mogli już dopatrzeć się w tym śladów dawnej wielkiej sprawy. Widzieli tylko człowieka i jego arbitralne, bezceremonialne kaprysy.

— Wierzaj mi, — mówił jeszcze Wysokolski, — gdyby żył, nie dopuściłby nigdy do tej wojny.

Oto teraz jeszcze jeden z najwierniejszych podkładał nowy sens pod formułę „niedopitej szklanki". Aramowicz pomyślał: „Wcale nie źle, jak na generała". Przemykając się pamięcią po tych wytartych, zesztywniałych i zdrętwiałych wspomnieniach, dziwił się, że wielki zmarły wciąż jeszcze się odbywa, wciąż zmienia się i działa, żywiony potrzebą wiary tych „wierzących za wszelką cenę".

Uczuł wielkie znużenie, jak gdyby na tym miejscu przeżył znacznie więcej czasu, niż go upłynęło. Wraz z Wysokolskim podszedł jeszcze do jego niechętnej żony, by przywitać się z nią i Oxeńskimi. Ale wprędce ich porzucił i tym samym powolnym, ciężkim krokiem ruszył w stronę historycznej grupy w rogu sali. Nie doszedł tam jednak. Po drodze usiadł ciężko na jakimś wolnym miejscu pod ścianą.

— Czy wolno? — spytał kurtuazyjnie już po niewczasie, widząc, że ma obok siebie konsulową Sielicką, a z drugiej strony księżnę Czarncewiczową z laseczką.

Nie chciało mu się iść dalej, jak gdyby upadł na duchu. Sam czuł się zagrożony, sam znaczył już niewiele. Od szeregu lat siedział w służbie dyplomatycznej i dopiero od niedawna został akredytowany jako minister pełnomocny przy rządzie jednego z mniejszych państw na południu. Teraz należała mu się zmiana, rzecz jednak przeciągała się nad miarę. Gdyż na to, co mu proponowano, w żaden sposób przystać nie mógł, a to czego chciał, było niepewne. Już nowi, ci młodzi spod znaku Stwana, chwytali się burty i przechylając całą „nawę" nad groźną czeluścią, wdzierali się na pokład. Mieli swe punkty zaczepienia w paru ministerstwach, siedzieli w prasie, pod różnymi nazwami tworzyli sobie wciąż nowe organizacje legalne.

Blisko od pół roku czekał tu bezczynnie rozstrzygnięcia swoich losów i obracał ten czas na jałowe konferencje i takie wieczory jak dzisiejszy. Myślał też o urządzeniu swoich spraw majątkowych w przewidywaniu możliwego kataklizmu. Żonę i córkę zamierzał wysłać na wiosnę do Anglii, gdzie miał przyjaciół i część zdeponowanej gotówki.

Patrzył tępo w ten kąt sali, gdzie skierowane były wszystkich oczy. Dowiedział się, że księżna spotkała się już z Uświackim i zdołała zamienić z nim kilka interesujących słów. Gdy znów ironiczna konsulowa Sielicka zaczęła mówić z nim o Celii, zrozumiał, że na pewno coś wie, że chce go wybadać. Poczuł, że jest pełny tego Oxeńskiego, że ma go w wątrobie, w aorcie, w bronchach i nawet w drobno dygocącym sercu. Poczuł, że ten człowiek, nic o tym nie wiedząc, w najmniejszym stopniu o to nie dbając, w pewien sposób go określa, że mu wyznacza miejsce na skali wartości. I że w tej hierarchii on, Dionizy Aramowicz, jest nierównie gorzej sytuowany od Jaspisa. Tamten bowiem jest ojcem córki, kochanej przez małego Oxeńskiego, gdy on jest ojcem tej nie kochanej. Oto była jego nowa rola w tym układzie sił, na który nie miał wpływu.

ROZDZIAŁ V

Agata przystanęła obok Oxeńskiego, by zaczekać na resztę towarzystwa, które, wiedzione przez Katarzynę, zatrzymując się i rozmawiając, zwolna sunęło za nimi. Szedł tam pułkownik Zołna, Ciencki i profesor Dzianwa, a na końcu Baraz z Edmundem.

Ci dwaj niewiele mieli sobie do powiedzenia, rozstali się bowiem zaledwie na godzinę przed rautem. Baraz zaszedł do Oxeńskich po zaproszenie, o które wystarał się dla niego Edmund. I — jak obawiała się Agata — właśnie w tej porze, kiedy miała być u siostry Sonka.

Była rzeczywiście, ale wyszła wcześniej, bo gdy Edmund wpadł do domu, żeby się przebrać, zastał już tylko Baraza i macochę w niemożliwym humorze. Zdziwił się, dlaczego nie ma ojca i Katarzyna powiedziała, że leży u siebie w gabinecie po ciemku zamknięty. „Dlaczego zamknięty?" — spytał. „Nie wiem, dlaczego", — odpowiedziała gniewnie. W tym czasie już drugi raz daremnie telefonowała do córki Agata. Wróciwszy od telefonu, Edmund ostrożnie podszedł do drzwi ojca i usłyszawszy, że nie śpi, zapytał go, jak się czuje. Na razie nic nie odpowiadał, a później nagle się zaśmiał i zawołał wesoło: „To ty, chłopcze? Myślałem, że mi się zdaje. Możesz wejść, drzwi są otwarte. Nie, tak sobie tylko odpoczywam. Nic mi nie jest."

Baraz nie bywał na takich przyjęciach, jego zasady kazały mu trzymać się zdala od sfer, zdemoralizowanych władzą. Dzisiejsza uroczystość zaciekawiła go wyjątkowo ze względu na obcych gości, których bardzo chciał zobaczyć. Edmund myślał złośliwie, że zarówno jego zwykła nieobecność, jak uczyniony na ten raz wyjątek, przez nikogo zauważone nie zostaną.

Baraz był u Oxeńskich domowym człowiekiem, kiedyś nawet przez rok blisko mieszkał pod ich dachem. W tym czasie dawał Edmundowi korepetycje. Mimo różnicy wieku byli ze sobą na ty. W Edmundzie trwał dotąd ślad dawnej zazdrości dziecinnej o zalety jego charakteru, które zawsze stawiano mu za wzór.

Baraz nie znał wyższych sfer stolicy i Edmund objaśniał go „kto jest kto". Zarazem jednak śledził z daleka ojca, stojącego w pobliżu drzwi z generałową. Ojciec w ogóle od pewnego czasu wydawał mu się dziwny. Obecność na raucie kobiety w białej sukni zwiększała ten niepokój. Ojciec był dla niego kimś nowym jako dawny mąż jego matki.

Oxeński, łagodny i uśmiechnięty, mówił do Agaty ze znużonym wdziękiem starszego pana:

— Zlituj się, to jest przecież paragraf sześćdziesiąty dziewiąty, to nie są żarty. Cała ta sprawa wyssana z palca nie jest. Winni są. No i winni muszą do sprawy posiedzieć.

Mówiąc kaszlał z lekka, przy czym dwa palce prawej ręki, środkowy i czwarty, przykładał do ust.

— Więc to z powodu tego chłopca była dziś u was?

— Tego czy innego, to jest wszystko jedno. Ubogi, wariat, włóczęga czy zbrodniarz — ona wzruszy się każdym. Ale jeżeli idzie o mnie, to nic dla niej nie znaczy świadomie wprowadzić mię w błąd. Ona ma z tego uciechę. Przypomnij sobie tylko tego Stugnę. Odkąd go wypuściłem za kaucją, a on od razu zwiał za granicę, już jej wcale nie ufam.

Mówił bez gniewu, jakby się przekomarzał, jakby się tylko z lekka dąsał.

— Zechciej to jednak uwzględnić, że twoja Sonka jest dla mnie bez litości. Ona wciąż czegoś żąda, czegoś się ode mnie domaga. Ona na mnie krzyczy — powiedz mi, czy to jest właściwe? Ona na przykład krzyczy: „Dlaczego on jeden, tylko on, który ma teraz dwadzieścia lat, dlaczego on jeden miał wiedzieć, że miłość ojczyzny jest przestępstwem." Ja nie mówię, że ona krzyczy głośno. Przeciwnie, krzyczy nawet dość cicho i niewyraźnie. Ale to faktu nie zmienia. Powiadam jej, że ja sam wcale nie mam takiej pewności, czy jest przestępstwem. A ona: „Owszem, właśnie każdy z was to myśli, gdy chodzi nie o jego ojczyznę." Dobrze, przyznaję, w tym jest jakieś ziarenko słuszności. Ale nie można mówić o „miłości ojczyzny", gdy rzecz idzie o działalność antypaństwową. I zważ: naprzód zaręczała, że to była broń stara, że tam leżała jeszcze z czasu wojny. — I gdy może byłbym gotów z samego już zmęczenia w to uwierzyć, dowiaduję się nagle, że on ma ojczyznę, co jest jednak nie mniej podejrzane. jak to, że ma broń. I to, zważ, dość jednak dobrze zachowaną, jak na taki szmat czasu. I co więcej, że kocha tę ojczyznę, ponieważ nie wie, że to jest zbrodnia... Słuchaj, to jest dla mnie fatalny zbieg okoliczności mieć w najbliższej rodzinie taką pracowniczkę Patronatu. Na taką jątrewkę ja, proszę ciebie, mam za delikatne nerwy. O tym należało mnie wcześniej uprzedzić, to bym się był może zastanowił.

— Widzę — rzekła Agata, — że masz już teraz kłopot z dwiema mymi córkami. To dobrze, że przynajmniej Tekla nie ma ci jeszcze nic do zarzucenia.

— Jestem ci za to prawdziwie wdzięczny. Ale Sonka mię prześladuje. To jest mój wyrzut sumienia. Jestem wciąż winien, jestem winien na każdą stronę. To stało się na starość drugim moim zawodem, że jestem winien. Uwierz mi, że to jest ciężko. Zwłaszcza gdy właściwym moim powołaniem jest szukanie winy u innych.

— Posłuchaj, ten Cyngal jest ciężko chory, Od dwóch lat czeka daremnie na termin sprawy. Sonka mówi, że jej nie doczeka, że odkładają umyślnie. To nie jest dziwne, że ona się przejmuje.

— Nie jest dziwne — powtórzył. — Tylko że ona wciąż apeluje ode mnie obecnego do mnie minionego. Do mnie z czasów, gdy byłem obrońcą. No, ale teraz nie jestem. Powiadam jej wyraźnie: — Dziewczyno, zastanów się, do kogo mówisz. Ja jestem prokuratorem. Ja jestem po drugiej stronie, ja przeszedłem na drugą stronę. Ja zwalczam samego siebie, samego dawnego siebie codziennie zwalczam. Nie tylko ja. Wszyscy od dłuższego czasu musimy zwalczać samych siebie. Ale czy ona chce to zrozumieć?

— Więc stanowczo jej odmówiłeś? — spytała Agata. — To szkoda.

Jego szare, czarno brwiami i rzęsami obwiedzione oczy, popatrzyły w jej twarz z dziwnym wyrazem.

— To ty mnie pytasz? — wyrzekł ostro. jakby się przeląkł.

Gdy zamilkła, nie pojmując, o co mu chodzi, tym samym zmienionym, szorstkim, nienawistnym głosem powiedział:

— Stanowczo!

Cofnęła się, osłupiała. Zdawało jej się, że rozmawiała z nim dość naturalnie, chociaż wiele ją to kosztowało. Że udało jej się przezwyciężyć.

— Nie pomyślałabym nigdy, że to z tobą przyjdzie mi kiedykolwiek w życiu w ten sposób mówić, — rzekła surowo.

Ale od razu przystąpił do niej znowu i cicho, łagodnie, z opuszczonymi powiekami powiedział:

— Nieludzka jesteś, Agato.

Nie po raz pierwszy w życiu usłyszała od niego ten wyrzut. Powiedział to, nie patrząc w jej oczy, jakby powtarzając słyszane echo. Powiedział to jak widmo. Innym trybem, w innym toku rzeczywistości.

Mogła myśleć, że się przesłyszała. Mogła także, usłyszawszy, od razu zapomnieć. Skoro nie chciał odpowiedzi, wcale na nią nie czekał. Z przechyloną głową patrzył ukośnie w niedalekie, lśniące miejsce posadzki, czymś najwyraźniej zaskoczony, czymś zdumiony. Wyglądało, jakby o niej zapomniał, zatopiony w swoim odrębnym świecie zgrozy czy udręczenia. Czyżby, jak ona, zabłąkał się myślami w ich dawną, ciężką sprawę?

Przewionęło to nią w straszliwym skrócie — jako zapach i kolor, jako sama esencja męczarni. Prawie nie powiedziała sobie w myśli, co to było — ten wyrzut powtarzany głosem przyciszonym w ciągu lat.

Po chwili, jakby się w czymś nareszcie upewnił, ocknął się i oprzytomniał. Stał teraz przy niej jako stary człowiek, uśmiechał się i przykładał dwa palce do warg, pokasłując.

— Mam chyba już dość kłopotu z własną swoją sprawą, prawda? — rzekł poufnie.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

*) Ciąg dalszy. Por. nr 13, 14 i 15 „Odrodzenia".

CZESŁAW MIŁOSZ

Z „Głosów biednych ludzi"

Wiersze napisane w Warszawie w r. 1943. Intencją cyklu było pokazanie pewnych postaw wobec rzeczywistości, pospolitych u ludzi, żyjących pod terrorem.

Pieśń obywatela

Kamień z dna, który widział wysychanie mórz
I milion białych ryb skaczących w męczarni —
Ja, biedny człowiek, widzę mrowie białych obnażonych ludów,
Bez wolności. Kraba widzę, który ich ciałem się karmi.

Widziałem upadek państw i zgubę narodów,
Ucieczkę królów i cesarzy, potęgę tyranów.
Mogę powiedzieć teraz, w tej godzinie
Że jednak — jestem, chociaż wszystko ginie,
Że lepszy jest pies żywy niźli zdechły lew
Jak mówi Pismo.

Ja, biedny człowiek, siedząc na zimnym krześle, z przyciśniętymi oczami,
Wzdycham i myślę o gwiaździstym niebie,
O nie-euklidesowej przestrzeni, o pączkującej amebie,
O wysokich kopcach termitów.

Kiedy chodzę, jestem we śnie, gdy zasnę przydarza się jawa.
Biegnę goniony i oblany potem,
Na placach miast, które zorza unosi jaskrawa,
Pod marmurowym szczątkiem rozfrzaskanych bram
Handluję wódką i złotem.

A przecie byłem już nieraz tak blisko,
Sięgałem w serce metalu, w ducha ziemi i ognia i wody
I niewiadome odsłaniało twarz,
Jak odsłania się noc spokojna w strumieniu odbita.
I witały mnie lustrzane, miedzianolistne ogrody
Które gasną, kiedy się je chwyta.

I blisko, tuż za oknem, oranżeria światów
Gdzie mały chrabąszcz i pająk są równe planecie,
Gdzie jak Saturn rozjarza się wędrowny atom,
A tuż obok żeńcy podnoszą do ust zimny dzban
W upalnym lecie.

Tego chciałem i więcej niczego. W starości
Jak stary Goethe stanąć przed obliczem ziemi
I rozpoznać ją i pogodzić ją
Z dziełem, wzniesionym jak leśna forteca
Nad rzeką zmiennych świateł i nietrwałych cieni.

Tego chciałem i więcej niczego. Więc któż
Winien? Kto sprawił, że mi odebrano
Młodość i wiek dojrzały, że mi zaprawiono
Moje najlepsze lata przerażeniem? Któż,
Ach któż jest winien, kto winien, o Boże?

I myśleć mogę tylko o gwiaździstym niebie,
O wysokich kopcach termitów.

Kawiarnia

Z tego stolika w kawiarni
Gdzie w zimowe południa błyszczał ogród szronu
Zostałem ja sam.
Mógłbym tam wejść gdybym chciał
I bębniąc palcami w zimnej pustce
Przywoływać cienie.

Mgła zimowa na szybie ta sama
Ale nie wejdzie nikt.
Garstka popiołu,
Plama zgnilizny wapnem przysypana
Nie zdejmie kapelusza, nie powie wesoło:
Chodźmy na wódkę.

Z niedowierzaniem dotykam zimnego marmuru,
Z niedowierzaniem dotykam własnej ręki:
To — jest i ja jestem w dziejących się dziejach,
A oni są zamknięci już na wieki wieków
W ostatnim swoim słowie, w ostatnim spojrzeniu.
I dalecy jak cesarz Walentynian,
Jak wodzowie Massagetów, o których nie wie się nic —
Choć upłynął zaledwie rok, dwa, albo trzy lata.

Mogę być jeszcze drwalem w lasach dalekiej północy,
Mogę przemawiać z trybuny, albo nakręcić film
Sposobami, na których oni się nie znali.
Mogę doświadczyć smaku owoców z wysp oceanu stulecia.
I mieć swoją fotografię w stroju z drugiej połowy
A oni już na zawsze, jak popiersia w żabotach i frakach
Z monstrualnego Larousse'a.

Ale czasami, kiedy wieczorna zorza barwi dachy ubogiej ulicy
I zapatrzę się w niebo — widzę tam, w obłokach
Zataczający się stolik. Kelner wiruje z tacą
A oni patrzą na mnie wybuchając śmiechem.
Bo jeszcze nie wiem jak się ginie z okrutnej ręki człowieka.
Oni wiedzą, oni dobrze wiedzą.

Biedny poeta

Pierwszy ruch jest śpiewanie,
Swobodny głos napełniający góry i doliny.
Pierwszy ruch jest radość
Ale ona zostaje odjęta.

I kiedy lata odmieniły krew
A tysiąc systemów planetarnych urodziło się i zgasło w ciele
Siedzę, poeta podstępny i gniewny
Z przymrużonymi złośliwie oczami
I ważąc w dłoni pióro
Obmyślam zemstę.

Stawiam pióro i puszcza pędy i liście, okrywa się kwiatem,
A zapach tego drzewa jest bezwstydny, bo tam, na realnej ziemi
Takie drzewa nie rosną i jest jak zniewaga
Wyrządzona cierpiącym ludziom zapach tego drzewa.

Jedni chronią się w rozpacz, która jest słodka
Jak mocny tytoń, jak szklanka wódki wypita w godzinie zatraty.
Inni mają nadzieję głupich, różową jak erotyczny sen.

Jeszcze inni znajdują spokój w bałwochwalstwie ojczyzny
Które może trwać długo,
Ale nie wiele dłużej niż trwa jeszcze dziewiętnasty wiek.

Ale mnie dana jest nadzieja cyniczna
Bo odkąd otworzyłem oczy nie widziałem nic prócz łun i rzezi,
Prócz krzywdy, poniżenia i śmiesznej hańby pyszałków.
Dana mi jest nadzieja zemsty na innych i na sobie samym,
Gdyż byłem tym, który wiedział
I żadnej z tego dla siebie nie czerpał korzyści.

JAN KOTT

Zgasłe mity poetyckie

Kiedy na początku XVIII wieku La Motte Houdar, należący do pierwszego pokolenia racjonalistów, zabierał się do przekładu **Iliady**, postanowił poprawić błędy Homera, wynikające z jego prostactwa i nieznajomości zasad Kartezjusza. W sporze, który toczył się wtedy pomiędzy zwolennikami starożytności a czasów nowoczesnych o istnienie postępu w poezji, La Motte należał do obozu „modernistów". Sądził, że od czasów Homera ludzkość wyzwoliła się z bardzo wielu fałszywych przesądów i ostro potępiał nieuctwo Hektora, który przemawiając do koni „naśladuje wulgarność woźnicy, szczerze wierzącego, że zwierzęta mogą go rozumieć". D'Alembert uważał, że w poezji tylko to jest dobre, co byłoby dobre i w prozie. La Motte Houdar, ponieważ sam pisał wiersze, sądził, że dzieli jednak poezję od prozy pewne, choć niezbyt wielkie skomplikowanie techniki. „Od mowy potocznej — pisał — poezja różniła się z początku jedynie odmierzonym układaniem słów, które w miarę doskonalenia się pieści ucho. Potem razem z figurami przyszła fikcja, myślę oczywiście o figurach śmiałych, jakimi wymowa nie odważyłaby się posłużyć. Oto, sądzę, wszystko co jest istotnego w poezji."

W szkicu o **poetyckim poznaniu** zajmuje się Maritain stopniowym uświadomianiem sobie przez poezję swojej istoty i odrębności. W okresie renesansu, najbogatszym w typowe formy techniki, w uczciwą umiejętność toczenia wiersza, „świadomość — pisze, — jaką poezja miała o samej sobie, była świadomością rzemieślnika. Wiek potem będzie to świadomość gramatyka." Obok wyznań La Motte Houdara jeszcze może lepszym przykładem przekonań wieku oświecenia, że poezja powinna być jasnym, rozsądnym i logicznym wykładem o rzeczywistości, może być, cytowana przez Maritaina, opinia osiemnastowiecznego krytyka literackiego księdza Terrassona. „**Każdy człowiek** — pisał ów racjonalista, — który w dziedzinie literackiej nie myśli tak, jak Kartezjusz nakazywał myśleć w dziedzinie fizyki, nie jest godny naszego wieku..."

Nowy sens słowu **poezja** nadał dopiero romantyzm. Romantyzm był czymś więcej niż przemianą reguł poetyckich i ustanowieniem nowego porządku na miejsce poetyki Boileau, romantyzm obalił samą zasadę istnienia poetyki, uniemożliwił powstanie nowego Boileau. Istnieć może kodeks piękna, ale nigdy kodeks uczuć. Kiedy istotą poezji stała się wierność wewnętrznej prawdzie, a miarą poety — indywidualność, istnienie poetyki stało się absurdem. Istnieją kodeksy konwencji, ale nie może istnieć kodeks prawdy i kodeks rzeczywistości. Romantyzm nadał nowy sens nie tylko słowu — **poezja**, ale i słowu — **poeta**. Byron, Goethe i Mickiewicz znaczą coś więcej i coś innego, niż ich twórczość. Romantyzm stworzył pojęcie osobowości poety jako duchowej kreacji, jako samoistnej wartości, jako wzoru życia.

We Francji dla generacji romantycznej Balzac jest postacią bardziej charakterystyczną od Lamartine'a i Stendhal od Alfreda de Vigny. Pozostaje co prawda Victor Hugo, ale Hugo był współczesny wszystkim, nawet Maeterlinckowi. Jeżeli w rewolucji romantycznej widzieć chcemy utożsamienie poezji z mistyką, mówić możemy tylko o polskim romantyźmie, lub o niemieckiej **die romantische Schule**. Romantyzm francuski był przede wszystkim **wielkim zwycięstwem realizmu**: abstrakcyjnego człowieka XVIII wieku zastąpiła konkretna jednostka, mająca nie tylko imię i nazwisko, ale wiek, adres i określone dochody, ponadczasowe państwo rozumu — historia, wieczną Naturę przez duże N — indywidualny krajobraz. Dopiero w następnym pokoleniu romantyzm stał się ucieczką od rzeczywistości i kreacją samoistnego świata wewnętrznego.

Należałoby napisać historię poezji dziewiętnastego wieku jako procesu stopniowego uświadamiania sobie skutków przewrotu romantycznego. Drogę, przez którą przeszli samotnie Mickiewicz i Słowacki od **Sonetów krymskich** po liryki lozańskie i od **W Szwajcarii** po **Genezis z Ducha**, odbyły we Francji trzy generacje poetów. Jeżeli każda dyskusja o współczesnej poezji nawiązywała do Baudelaire'a, Mallarmégo i Rimbauda, to nie dlatego, że ci trzej poeci wywarli największy wpływ, najsilniej zaciążyli nad stuleciem. Baudelaire, Mallarmé i Rimbaud zdali sobie jedynie z całą świadomością sprawę z ostatecznych konsekwencyj romantycznego przełomu, ukazali **punkty graniczne** postaw poetyckich, jakie zarysował romantyzm.

Kiedy Lamartine lub Victor Hugo mówią o sobie — pisze Thibaudet — przybierają postawę heroiczną, pozują do posągu, jaki chcą, aby im wystawiła potomność. Baudelaire pierwszy uczynił z poezji konfesjonał, mówił szeptem. Autor **Kwiatów zła** odkrył tajemnicę bezwstydu literackiego i ją świadomie stosował. „Bezwzględna szczerość, — notuje w **Dziennikach poufnych** — środkiem oryginalności." Pierwsza z formuł liryki została znaleziona. Poezja stała się spowiedzią, a spowiedź jest wyznaniem grzechów. Oto narodziny demonizmu. Romantyzm odwoływał się do publiczności i dlatego tyrady Byrona są retoryczne. Spowiedź nie jest nigdy publiczna, nawet spowiedź w druku jest odwołaniem się do samotnego czytelnika. Poezja stała się osobistym wyznaniem.

Drugim wielkim odkryciem Baudelaire'a było piękno wielkiego miasta, piękno rzeczy i piękno brzydoty. Romantyzm obalił hierarchię tematów na górne i poziome. Baudelaire dowiódł, że poezja może mówić o wszystkim i wszystko uczynić poezją: szpital i ścierwo, źrenice kota i latarnie gazowe, gasnące nad ranem. Prozaizm jako środek odnowienia liryki — oto druga formuła, jaką współczesna poezja zawdzięcza Baudelaire'owi. Myśmy ją znali pod nazwą poetyckiego podboju rzeczywistości.

„**Muzyka dziurawi niebo**" notuje Baudelaire w **Dzienniku intymnym**. I dalej: „**Niebo tragiczne**. Epitet rzędu oderwanego zastosowany do rzeczy materialnych." Takie zdania wychowują przyszłych poetów. Te dwa zdania stworzyły poetycki kanon symbolizmu. Baudelaire pierwszy zrozumiał, że niebo może być tragiczne, Mallarmé, Rimbaud i impresjoniści, że może być rude, fioletowe i żółte. Należałoby kiedyś napisać historię metafor, dzieje obrazów poetyckich. Baudelaire odkrył formułę metafory niewyobrażalnej plastycznie, w której o wzajemnym pokrewieństwie przedmiotów rozstrzyga nie ich podobieństwo, ale wzruszenia, jakie budzą. Odtąd trzecim ukrytym członem każdej metafory stał się człowiek. W dobie panującego scientyzmu Baudelaire przyznał poezji prawo przemiany rzeczywistości przyrodniczej, prawo przemiany świata. W poezji, która utożsamia się z wewnętrznym monologiem natura przestaje odgrywać rolę samoistną, staje się obrazem i zwierciadłem psychiki. Słynny „las symboli" był trzecim odkryciem Baudelaire'a.

Drobne poematy prozą dowiodły, że poezja znaczy coś innego niż wiersz. Symbolizm był już tylko uświadomieniem sobie dokonanej rewolucji języka poetyckiego. Podobnie jak molierowski pan Jourdain, który ku swemu nieopisanemu zdumieniu dowiedział się, że mówi prozą, poeci zdali sobie nagle sprawę z istnienia niezależnej, odrębnej i nieprzetłumaczalnej na prozę mowy poetyckiej.

Nie docenia się na ogół wagi rewolucyj językowych w dziejach myśli. A przecież każdy wielki przewrót w nauce zaczynał się od wprowadzenia nowych pojęć, od zmiany języka. Istotą rewolucji kartezjańskiej było usunięcie tysięcznych rozróżnień scholastycznych, owych nigdy nie kończących się **distinguo** i rozpoczęcie filozofowania w dobrej francuszczyźnie. Niewinna zmiana terminów stała się początkiem filozofii zdrowego rozsądku.

„Wszystko widzialne spoczywa na niewidzialnym — pisał Novalis, — to co można usłyszeć — na niedosłyszalnym, czego się można dotknąć — na niepochwytnym." Zburzenie logiki i samowolne spokrewnianie ze sobą pojęć, chemia słów, która powstawała, niosła pytanie, czy ten nowy język nieprzetłumaczalny na żaden inny i pozornie bezsensowny jest jedynie igraszką, czy nowy obraz świata, niepodobny do żadnej rzeczywistości, nie jest czasem uchyleniem tajemnicy, odkryciem nieznanej prawdy, mistycznym wtajemniczeniem? Świadomość niezależności języka poetyckiego zmienić musiała ontologię i teologię poezji.

„...Nie bezkarny
marzyłem długo w różach kolor czarny..."
(Słowacki)

Jeżeli róże na prawdę są czarne, poezja jest wiedzą i poznaniem. Jeżeli czarnych róż nie ma, jeżeli czarne róże poza królestwem poezji nic nie znaczą, wtedy... wtedy istnieje poezja czysta. Od Mallarmégo i Rimbauda poeci wskrzesili średniowieczny spór nominalistów z realistami. Mallarmé rozwinął świadomie doktrynę poezji zamkniętych oczu, będącej kreacją świata, który jest sam dla siebie jedynym i wystarczającym usprawiedliwieniem. Wiersz stawał się dla niego wyzwaniem rzuconym niedoskonałości i przypadkowości wszystkich rzeczy ziemskich, usprawiedliwieniem i powtórzeniem dzieła stworzenia. Poeta jak Bóg tworzy z nicości słowo, nabiera znaczenia magicznej formuły zaklęcia, staje się słowem, które było na początku. Poezja jest czysta, kiedy nie mówi nic, kiedy nic nie wyraża, kiedy sama sobie wystarcza i sama dla siebie staje się samoistnym światem. „Piękny wiersz, który nic nie znaczy, lepszy jest od bardziej pięknego, który znaczy cokolwiek" — pisał w tym samym czasie Flaubert i marzył o książce bez treści, która by oddziaływała samą potęgą stylu.

Mit poezji czystej został stworzony. Praktykę poetycką Mallarmégo kontynuowało niewielu, mitologię przejęli niemal wszyscy. Jeszcze na krótko przed wojną odnajdujemy ją w wyznaniach poetów nawet najbardziej Mallarmému odległych. „Treścią liryczną — pisał Przyboś — jest albo ostateczność, najdalszość wynikająca z codziennych doświadczeń, albo wynikanie z braku, nic, które kiełkuje. Przykład: laską poetycką par excellence będzie — laska z powietrza." Mallarmé nie zdawał sobie sprawy, że mit poezji czystej oznacza wieczną

przemianę form liryki. Mallarmé formułował mitologię czystości w kategoriach teologicznych. W kategoriach poetyki czystości zdefiniować nie można, łatwo jest natomiast określić jej zaprzeczenie — nieczystość. Kiedy mitologię Mallarmégo przyjęły następne pokolenia poetów, oznaczała ona każdorazowo walkę o oczyszczenie języka poezji z elementów prozy, o maksymalne oddalenie od języka potocznego. Mit poezji czystej wynikł z uświadomienia sobie odrębności języka poetyckiego, walka o czystą poezję stać się musiała w konsekwencji nieustannym rewolucjonizowaniem języka, techniki poetyckiej. „O usta! — pisał Apollinaire. — Człowiek jest w poszukiwaniu nowej mowy, o której gramatyk żadnego języka nie będzie miał nic do powiedzenia.“ Od „De la musique avant toute chose“ Verlaine'a po „Słowa na wolności“ Marinettiego śledzić możemy dziedzictwo Mallarmégo. Czystość poetycka stała się molochem żądającym wciąż nowych ofiar i wyrzeczeń. Kiedy nadrealiści targnęli się wreszcie na składnię i znaczenie wyrazów, doświadczenie zostało doprowadzone do końca, poezja stała się czysta, ale zato przestała istnieć.

„Porzucić słowa — pisał Maritain — z całym obciążeniem kłamstwa i dowolności, którą ciągną za sobą, — porzucić słowa, albo stworzyć nowe, to odrzucić zwykłą grę pojęć i myśli życia racjonalnego, społecznego i ludzkiego, to wejść w pierwotny świat, gdzie nic nas nie obroni, to w końcu w pewien sposób porzucić rodzaj ludzki“. Tylko stałość konwencji sztuki ratuje ją od działania czasu, niejako balsamuje przez wyosobnienie, rozgraniczenie, wydzielenie z płynnej rzeczywistości. Życie zmienia się szybciej od stylu, choć tylko poprzez jakieś pojęcie stylu możemy je ujmować, osadzać i rozgraniczać. Dlatego albumy fotografii po dziesięciu, czy dwudziestu latach są już dokumentami stylu, jak gdyby każde dziesięciolecie odmieniało ludziom spojrzenie, uśmiechy i gesty. Sztuka, która posiada najmniejszą ilość konwencji, która zupełnie chce się utożsamić z życiem, starzeje się najszybciej. Dla filmów okres ten trwa zaledwie parę lat. Tragiczność filmowa z chwilą nastania nowej mody, skrócenia się lub wydłużenia sukien, przejścia wysokich stanów w niskie lub zmiany fasonu kapeluszy, — staje się humorystyczna. Nowy styl odrzuca stary na strych pomiędzy meble ojców. Nowa moda odrzuca starą do panopticum, do kabaretu, odsłania jej śmieszność. Ileż wierszy lirycznych po kilkunastu latach staje się kanwą piosenki kabaretowej.

Mit **poésie pure**, który stworzyć miał niezależnie od zmian czasu królestwo poezji, przez ostateczne obalenie zasady stałości konwencji podporządkował je w rezultacie nie stylom, ale modom. Od czasów Mallarmégo obserwować możemy nie tylko rosnącą zmienność prądów poetyckich, ale i wzrastającą krótkotrwałość okresu, w którym wiersz jest czytelny. Walka **o poezję czystą** stała się nieustanną przemianą technik poetyckich. „Muzeum sztuki — pisał gdzieś Suchodolski — jest zbiorem arcydzieł, muzeum techniczne zbiorem osobliwości.“ Wiersze, które powstały dla eksperymentów formy, przechodzą do muzeum techniki.

Mallarmé chciał, aby poezja mówiła jak najmniej, aby nic nie mówiła, Rimbaud — aby mówiła jak najwięcej, aby powiedziała wszystko. Twórczość Rimbauda była tragiczną próbą wyjścia poza literaturę, próbą przyznania doświadczeniu poetyckiemu mocy przemiany rzeczywistości. Poezja ma „zmieniać życie“ — pisał autor **Pijanego statku**, ma przeciwstawić się „epoce morderców“, która nastała po zgnieceniu Komuny, — społeczeństwu, moralności, kulturze. Rzeczywistość okazała się silniejsza, Rimbaud zbuntował się przeciwko doli człowieczej. Ostatni okres rewolty Rimbauda („obecnie buntuję się przeciwko śmierci“), to już nie walka o „gorzką piękność“ dawno porzuconą, ale poszukiwanie dna spraw ludzkich, próba wydarcia tajemnicy — „forcer le secret“. Doświadczenie to musiało zakończyć się tragicznie; istnieje granica czystej wizyjności, znają ją wszyscy poeci, przy ciągłym oddalaniu się od realności nadchodzi chwila, kiedy zatraca się już możność wyrażania kształtu, barwy, czy dźwięku, następuje kres — granica. Świat ludzki zostaje porzucony, Rimbaud cofnął się. „Polowanie duchowe“ przyniosło przegraną.

Nie pierwszy Rimbaud przestał pisać. O ileż bardziej wstrząsające było milczenie Mickiewicza. Można przyjmować lub odrzucać zasadniczą irracjonalność poezji, jedno jest tylko niewątpliwe, że z doświadczeń mistycznych poezja wychodzi zawsze z przetrąconym kośćcem. Doświadczenia te nie dają się tłumaczyć na słowa, nawet wtedy, kiedy jak u Rimbauda przybierają faustowską postać oddania duszy, aby stać się jeśli nie podobny Bogu, to przynajmniej demiurgowi.

Z poezyj zamkniętych oczu Mallarmégo powstała mitologia poezji czystej. **List Jasnowidza** Rimbauda stoi u narodzin drugiego wielkiego mitu, mitu poezji pojętej jako **przygoda duchowa.** List ten silniej może zaciążył nawet na rozwoju współczesnej poezji od **Iluminacji** i **Pobytu w piekle.**

„Ja jestem **Kto inny;** — czytamy — jeżeli miedź budzi się jako trąba, nie ma w tym jej winy. Dla mnie to oczywiste; uczestniczę w wykluwaniu się mojej myśli, patrzę na nią, słucham jej, uderzam smyczkiem: symfonia rozbrzmiewa w głębiach lub skokiem znajduje się na scenie“...

Na dwa pokolenia przed Nietzschem Rimbaud rzucił pierwszy pytanie: „Co może człowiek?“ Przyświecał mu już mit pierwotności, mit o utraconej niewinności natury ludzkiej. Jeżeli burzył się przeciwko warunkom życia społecznego, jeżeli buntował się przeciwko chrześcijaństwu, to dlatego, że w antynomiach zła i dobra, w pojęciu zakazu i normy dostrzegł ograniczenie i spaczenie pierwotnej wielkości człowieka. Tajemnica, którą usiłował wydrzeć, kryła się dla niego na dnie natury ludzkiej w prawdzie zmysłów i w prawdzie instynktów. Na pięćdziesiąt lat przed nadrealistami podświadomość była już dla Rimbauda szatanem, który może odsłonić formułę przemiany człowieka. Poezja stała się dla niego jasnowidztwem, ponieważ widział w niej metodę najbardziej zuchwałego z doświadczeń, metodę przedarcia się do głębin psychiki. Walka o „liberté totale de l'esprit“, o pełną wolność ducha, kończy demoniczne doświadczenie Rimbauda.

„Pierwszym studium człowieka — pisze dalej, — który chce być poetą, jest jego własne poznanie, całkowite. Szuka swojej duszy, ogląda ją, kusi ją, uczy się jej. Z chwilą, kiedy ją pozna, powinien ją rozwijać: wydaje się to proste: w każdym mózgu następuje rozwój naturalny... Ale chodzi o stworzenie duszy potwornej na wzór comprachicos*), tak! Wyobraźcie sobie człowieka, który przesadza sobie i hoduje na twarzy brodawki. Mówię, że należy być jasnowidzem, uczynić się jasnowidzem!

Poeta czyni się jasnowidzem przez długie, bezmierne i wyrozumowane wyprowadzenie z równowagi wszystkich zmysłów. Wszystkich form miłości, cierpienia, szaleństwa szuka w samym sobie, wyczerpuje na sobie trucizny, aby zachować ich kwintesencję. Niewypowiedzialna tortura, w której odczuwa potrzebę całej wiary, całej siły nadludzkiej, w której staje się pośród wszystkich wielkim chorym, wielkim zbrodniarzem, wielkim potępionym i najwyższym mędrcem. Ponieważ dochodzi do nieznanego! Ponieważ kształci swoją duszę, bogatszą już niż kogokolwiek innego! Dochodzi do nieznanego i kiedy, obłąkany, traci w końcu możność rozumienia swoich wizyj, widział je! Niech zdycha w swoim skoku przez rzeczy niesłychane i nie dające się nazwać, nadejdą inni straszni pracownicy: rozpoczną od horyzontów, gdzie tamten opadł z sił... Jeżeli to, co stamtąd przynosi, ma kształt, daje kształt; jeżeli jest bezkształtne, daje bezkształtne...“

List Jasnowidza ogłoszony został po raz pierwszy w roku 1912. W dziesięć lat później stał się on manifestem nadrealizmu, którego dziejowym zadaniem było doprowadzenie do absurdu i ostateczna kompromitacja mitu przygody duchowej.

*) Comprachicos — średniowieczni mimowie, którzy wycinali sobie mięśnie twarzy, aby przybrać wyraz potworny lub komiczny.

ARTUR SANDAUER

Śmierć liberała

Doktora Herberta Kirschego znałem na długo przed wojną. W bezrobotne wakacyjne popołudnia, gdy pustka czasu staje się szczególnie uciążliwa, szedłem do jego mieszkania położonego w najwykwintniejszej dzielnicy naszego bardzo brudnego miasta. Rolety, opuszczone jeszcze, rzucały mrok na orzechowe meble; kurz tańczył w pasemkach światła. Pachniało wilgocią, moczem, lekarstwami i stęchlizną książek. Zegar na ratuszu bił trzecią. Doktór Herbert budził się z poobiedniej drzemki, rad niezmiernie mojej wizycie, po której obiecywał sobie wiele przyjemności. Siadał pod kołdrą, przygarniając kolana rękoma, potem wciągał skarpetki i pantofle na chude nogi i podbiegał truchcikiem ku oknu, by podnieść story. Z niezwykłą ostrożnością wyciągał z szafy bibliotecznej jedno ze wspaniałych wydań Velasqueza czy Breughela i w jarzącym popołudniu pogrążaliśmy się w orgii barw, ja, barbarzyńca, i on, znawca, czytelnik Baedeckera, wykrzykujący raz po raz:

— Cudne! Ta kompozycja, tu... tu... tu... I te tony perłowe!

Poprawiał skośnym ruchem szyję w kołnierzyku, podnosił lewe ramię i uśmiechał się wąskimi wargami. Poczem dodawał, ile metrów długości i szerokości ma to płótno, w jakim muzeum i podczas jakiej podróży je oglądał.

Doktor Herbert miał przedstawicielstwo kultury na nasze miasteczko. Reputację tę zawdzięczał napisanej przed laty i figurującej w katalogu miejscowej biblioteki książce „Anatol France, mistrz ironii“, w której dowiódł niezbicie, że Anatol France jest mistrzem ironii. Sam był humanitarystą, indywidualistą, estetą, liberałem, demokratą, słowem — człowiekiem XIX wieku. Był zresztą wszystkim, czym kulturalny mecenas być powinien: i socjalistą (choć miał zrozumienie dla endecji), i asymilantem (choć dostrzegał osiągnięcia sjonizmu), i antyfaszystą (choć cenił niemiecką sprężystość). Wreszcie — co nie jest najmniej ważne — posiadał dobrze prosperującą kancelarię i wyjeżdżał co roku zagranicę, skąd przywoził zdjęcia (Dr Kirsche na Montmartrze obok Cocteau, Dr Kirsche u stóp piramid), niezliczone nalepki hotelowe na kufrach i owe tomy, które mnie do niego zwabiały.

Nieraz park lipcowy, majaczący białymi sukniami, słyszał do późna nasze rozmowy.

— Każdy nie-Żyd jest antysemitą.

Doktor Herbert, który lubił zaskakiwać paradoksami, zajął nagle, nie wiadomo czemu, stanowisko hitlerowskie.

— Ależ, panie mecenasie, pan mówi jak stara baba.

— Przepraszam... pan pozwoli... pan pozwoli... — Doktor Herbert był dotknięty śmiałością porównania. — Inność... obcość... irracjonalne pobudki...

Było już późno. Park pustoszał. Dyskusja, gmatwając się coraz bardziej, gubiła się we własnych labiryntach i nikt już nie wiedział, jakiego poprzednio bronił stanowiska. Stawało się nieznośnie duszno, nudno i nie wiadomo co począć. Szliśmy do kawiarni, gdzie dr Herbert, sącząc mazagran przez słomkę, rzucał subtelne uwagi o tańczących parach. Sam z powodu nieznacznego garbu nie tańczył i nie pamiętam, aby się kiedykolwiek kochał...

*

Z przyjściem Niemców doktor Herbert zgłosił się pierwszy do przymusowej pracy. Dzięki temu, po jednodniowym płukaniu garnków, zaawansował na prezesa naprędce stworzonej rady. Widywałem go odtąd rzadziej, w domu trudno go było zastać, a ja również nie miałem czasu ani swobody na oglądanie Velasqueza.

Raz jednak odwiedziłem go w domu. Przyjął mnie z otwartymi ramionami.

— Dzień dobry panu! Jak się pan miewa? Co pan porabia, a przede wszystkim co pan czyta teraz?

Zmieszało mnie nieco to dość luźnie z obecną chwilą związane pytanie.

— Tacyta, panie mecenasie.

— Ach, pan wciąż wierny klasykom. Nie obchodzi pana doczesność. A zresztą to doskonały prozaik, jak wyraził się Giraudoux. Znakomity pisarz. Świetne, bezlitosne pióro. Czy widział pan ozdobne wydanie Tacyta z 1791 roku, które przywiozłem z Rzymu?

— Nie, nie oglądałem jeszcze. Ale ja do pana w sprawie prywatnej. Chodzi mi o to, czy nie zechciałby pan wciągnąć matki mojej na listę zbieraczek ziół? Słyszę, że praca ta daje gwarancję bezpieczeństwa...

— A, co do tego, to trudno, bardzo trudno. Bodajże niemożliwe. Widzi pan, jest tylko dwanaście miejsc zarezerwowanych dla rodzin członków rady. Pan sam zrozumie, że prawnie one mają pierwszeństwo.

— A może jednak?...

— Nnnie, raczej nie. Zresztą pomyślimy. Jeśli okaże się miejsce wolne, to owszem, owszem. Ale, à propos, co pan sądzi o Paul Morandzie?

— Doskonały prozaik, jak się wyraził Giraudoux. Znakomity pisarz. Świetne, bezlitosne pióro. Tak, tak, widziałem to wydanie Moranda, które pan przywiózł z Paryża. Ale ja, niestety, już muszę odejść, panie mecenasie.

— Czemu tak szybko? Niech pan odwiedza mnie częściej: pomówimy o literaturze, o sztuce. Pan wie, te obowiązki społeczne — to męczy, to odrywa. Ale trudno, trzeba je wykonywać do ostatka. I wie pan, co mi nasz SS-Hauptscharführer Gabriel niedawno powiedział: „Sie sind der einzige Mensch in der Stadt, mit dem ich mich überhaupt unterhalten kann.“ Dyskutowałem z nim ostatnio o nietzscheaniźmie. Co za kulturalny, mało, co za głęboki człowiek. Jakkolwiek przekonany hitlerowiec. Ale przekonania polityczne i kultura — to dwie odrębne rzeczy. On zresztą sam boleje nad tym, co musi robić. Ach! Ci Niemcy! Że też oni mogli tak nisko upaść! Ktoś nazwał ich narodem filozofów i feldwebli. Jakie to słuszne, prawda?

W wyniku tej wizyty matka moja dostała się wreszcie na listę zbieraczek ziół, co zresztą dawało dokładnie tyleż gwarancyj, ile każda inna praca, t. zn. żadnych. Mimo to żywiłem pewną wdzięczność dla doktora Herberta i odwiedzałem go odtąd niekiedy w biurze z ubocznym celem, zasięgnięcia informacyj, według których regulował się puls naszego życia

*

Było to po lutowej akcji więziennej. Gestapowcy, zastrzeliwszy 400 więźniów i zjadłszy wystawną kolację w gmachu rady, właśnie odjechali.

W przedpokoju sekretarki dojadały resztki pozostałych z uczty ciastek i przechylały dnem do góry kieliszki. W drzwiach biura prezydialnego, otwartych na oścież, kupiły się gromady ludzi, zaglądających ciekawie do wnętrza, podczas gdy dr Herbert z żyłami napęczniałymi na skroni, ze zlepionymi włosami biegał tam i nazad po pokoju, machając rękoma i krzycząc.

— Może pan prezes zechce wysłuchać dzisiejszego komunikatu. Świeżo z radia — usłyszałem jakiś głos perswazji.

— Do... z waszymi komunikatami. Co one komu dobrego przyniosły? Komu życie uratowały? Ja, ja sam — dzisiaj — ocaliłem was wszystkich. Czy pan wie, co by się było stało, gdyby nie moja rozmowa z Gabrielem?

— I cóż? Co powiedział?

— Z początku był wściekły. Stał z głową opartą na ręce przy oknie i tylko rzadko odwracał się, by pociągnąć z kieliszka. Dopiero, kiedy nawiązałem z nim rozmowę o Goethem, uspokoił się trochę. On jest niezłym człowiekiem i boleje nad tym, co musi robić, ale wierzcie mi, że kiedy raz zaczęło się strzelać, to później trudno się powstrzymać. Nastrój jego polepszył się do tego stopnia, że nawet pod koniec powiedział mi: „Mam specjalne rozporządzenie z Berlina...“

— No, no — rozległy się chciwe głosy.

— „Mam specjalne rozporządzenie z Berlina, aby akcje przeprowadzać nie, jak dotychczas, bez różnic, lecz według pewnej zasady: tępić element niespołeczny, innych zaś użyć do pracy.“

Tłum słuchał z zapartym tchem.

Dr Herbert podniósł palec wskazujący.

— „Ponieważ miasto, na czele którego pan stoi, wywiązało się znakomicie ze wszystkich postawionych mu zadań, pan zaś sam jest, mimo niższego pochodzenia, człowiekiem, którego kulturę umiem ocenić, więc uważam za swój obowiązek zapewnić pana, że, póki ja tu jestem, włos wam z głowy nie spadnie. Będziemy pracować nie tylko ramię przy ramieniu, ale i serce przy sercu.“ I uścisnął mi rękę.

Dr Herbert był szczerze wzruszony. Głos drżał mu i załamywał się.

— A pańskiej siostrze — zwrócił się z nagłą wściekłością do stojącego obok milicjanta — każę dać 25 po..., jeśli będzie otwierać drzwi podczas ich obecności. To ładnie wygląda!

Trzeba przyznać, że zachowanie doktora Herberta, zarówno jak grube słowa, których użył, nie licowało ze zwyczajną jego powściągliwością. Była to jedna z owych niekonsekwencyj natury ludzkiej, za które tylko ona sama, a nie opowiadacz, ponosi odpowiedzialność. Przyczyną zaś — jak okazało się później — było zażycie perventiny, środka podniecającego, od którego odymały się zwykle kieszenie gestapowców, a którym w przystępie dobrego humoru poczęstowali prezesa.

W dwa dni później Gabriel przeprowadził w naszym mieście akcję, podczas której zastrzelił 800 ludzi.

*

Zbliżała się wiosna, a z nią życie nasze ku końcowi. Nawpół rozwalone domy stały puste, a ludzie ze śmiechem i hałasem rozbierali je na paliwo. Dziewczęta w marcowym słońcu kopały motykami ziemię, sadziły kartofle, które miały dojrzeć w jesieni. Czasem śpiewały:

„Minie jesień, przyjdzie wiosna,
Będzie na nas trawa rosła.“

Czasem podnosiły kędzierzawe głowy od pracy i oglądały się na druty, gdzie w dwuszeregu, po obu stronach, stali ludzie, jedni z naczyniami, pościelą, odzieżą, drudzy z koszykami lub portfelami w rękach.

— Gosposiu, gosposiu, kupcie pierzynę!

— A ile chce pani za ten łach?

— Tylko 250 zł za ten nowiuteńki kawałek.

— O! Mój szwagier taką samą — tylko wsyp był lepszy — kupił na tamtej niedzieli za 150 zł.

— Niech pani tylko popatrzy, jaka podszewka, koronkowa, bielutka. Nie mogę dać taniej niż za 200.

— I po co wam tyle pieniędzy? Do jamy z sobą weźmiecie, czy co?

— Jama — jamą, a żyć trzeba, trzeba żyć, kochana pani. Dziecko mi już od tygodnia mleka nie widziało.

— No, to ja dam 150 zł i litr mleka.

— Niech będzie po waszemu. Garnczek zaraz odniesę.

I pierzyna wędrowała ponad drutami.

Dziewczęta patrzą, czy po tamtej stronie drutów nie widać jakiegoś kawalera. Może zlituje się, weźmie. Chłopcom zawsze lepiej, mogą sobie poradzić, a im tylko to wyjście pozostało.

— Ty masz już kogoś — mówią do koleżanek — może i mnie nastręczysz. Może twój ma przyjaciela...

Kartofle mokną w pulchnej ziemi, pęcznieją, kiełkują i już pędy zielone rwą się ku słońcu I w ludziach coś kiełkuje, coś rwie się ku słońcu, ku życiu. Woźnice, tragarze, nosiwody, bez żon już, bez dzieci, samotni, wyprostowują zgarbione plecy: „Wiosna! Szerokie pola! Świat! Ja znam wszystkie drogi w Karpatach. A ja pochodzę ze wsi. A ja byłem leśnym robotnikiem.“ Na nocnych konwentyklach radzono o broni, o pieniądzach. Ukraść, zrabować. Rozpoczęły się grabieże. Pojawiły się pierwsze rewolwery. Coraz częściej słychać było ponocne strzały. Robiło się gorąco.

Aż trafiła się owa okazja, jedyna, niepowtarzalna. Komuś są potrzebne pieniądze. Ktoś chce sprzedać 10 karabinów ze 100 nabojami za 10 000 zł. Ktoś wyjeżdża za trzy dni. Na jednym z nocnych zgromadzeń postanowiono ograbić radę. Miały tam być złote dolary, zebrane z okupów. Spojono milicjantów. Otworzono drzwi kasy ogniotrwałej dorobionym kluczem. Lecz kasa świeciła pustkami. Sprytni rajcy w przewidywaniu zamachu ukryli pieniądze nie w kasie, lecz w niewiadomym schowku. Wzięto jako nagrodę pocieszenia dwie maszyny do pisania, rzecz kłopotliwą, lecz — bądź co bądź — towar.

W dwa dni później otrzymałem pisany w braku maszyny atramentem list następujący:

„Szanowny Panie! W związku z popełnioną przez pana i pańskich wspólników kradzieżą wzywa się pana do natychmiastowego zwrotu maszyn, względnie do uiszczenia 10 000 (słownie: dziesięciu tysięcy) złotych tytułem odszkodowania.

W przeciwnym razie sprawa zostanie oddana w ręce Kripo.

Prezes Rady
m. p. dr Herbert Kirsche."

Prawdę powiedziawszy, groźba ta niezbyt mnie przerażała. Byłem tak czy owak skazany na śmierć za to, czym byłem, nie za to co zrobiłem. Przestępstwo kryminalne, popełnione przeze mnie, nie mogło niczego zmienić w oczekującym mnie losie. Poza tym sypiałem już wówczas po stodołach, komorach, śmietnikach i adres mój był nieuchwytny. Ponieważ jednak odpowiedzialność mogła spaść na rodzinę, udałem się do gmachu rady. Urzędnicy, dawni moi znajomi, odwracali głowy, lub patrząc w twarz, nie poznawali.

— Proszę pana — przywitał mnie doktór Herbert surowym tonem sędziego śledczego. — Proszę się nie wypierać. Mamy swoich ludzi i wśród was. Wiemy dokładnie, kto brał udział w waszym chwalebnym wyczynie. Nie chcę zresztą wchodzić w te sprawy; nie wolno mnie o nich nic wiedzieć. Nie mam też zamiaru wam szkodzić. Maszyny nam są jednak potrzebne. Bez nich nie możemy urzędować. Musimy je mieć z powrotem.

— Maszyn tych już nie mam — odparłem.

— W takim razie proszę je odkupić lub złożyć 10 000 zł.

— Pieniędzy też nie mam.

— Pan nie ma pieniędzy? Ale pan potrafił ukryć swoją siostrę, co zapewne nie było za darmo.

— Dla mnie życie siostry jest ważniejsze, niż wasze urzędowanie.

— A dla mnie, proszę pana, — i dziwię się, że pan, człowiek inteligentny, tego nie rozumie — dobro społeczne jest ważniejsze, niż wszystko. Te lata nauczyły mnie jednego: inna jest filozofia tego, który rządzi a inna tego, którym rządzą. Rządzony widzi tylko interes własny, rządzący interes ogółu.

Doktór Herbert próbował mnie wciągnąć w dawny pojedynek intelektualny.

— Nie wiem, jaka jest filozofia władzy. Czy pan myśli długo jeszcze pisać na tych maszynach?

— Długo, czy krótko — praca musi trwać, obowiązek należy wykonywać do końca. Pieniądze muszą być zwrócone. W przeciwnym razie, pan mnie rozumie...

Obejrzałem się. U drzwi stali milicjanci.

— Dobrze, panie prezesie. Pieniądze będą zwrócone. Pan pojmie jednak, że sam nie dysponuję taką sumą i muszę ją zebrać wśród kolegów, czy — jak pan woli — wspólników.

— No, tak. Wśród tych woźniców, tragarzy and company. A zresztą dobrze. Ma pan trzy dni czasu.

Wstałem.

— Do widzenia, panie prezesie.

— Do widzenia. Chwileczkę — głos doktora Herberta zmiękł. Próbował się uśmiechnąć wąskimi wargami. — Czy pan czyta teraz cokolwiek?

— Owszem, czytam IX księgę „Odyssei". Pan zna tę historię: Odysseusz wraz z towarzyszami dostaje się do pieczary ludożercy Polifema. Chcąc zaskarbić sobie jego względy, ofiarowuje mu bukłak z samijskim winem. Cyklop upija się i w przystępie dobrego humoru obiecuje Odysseuszowi, że w nagrodę za ten boski napój zje go na samym końcu. To właśnie czytam teraz. Dowidzenia.

Jeszcze tego samego wieczoru dr Herbert, stojąc na schodach rady, przemawiał do tłumu:

— Dzięki mojej zręczności... sam widziałem pismo z Berlina... sytuacja jest poważna, choć nie beznadziejna... trzeba pieniędzy.

Tłum słuchał z zapartym tchem.

Na drugi dzień już nie żył. Padł na zwale trupów, ostatni z miasta. Może, siadając w krwawej, drgającej jamie, przygarnął zwykłym ruchem chude kolana i poprawiał szyję w nieistniejącym już kołnierzyku w chwili, gdy kula Gabriela uderzyła go w kark.

O teraźniejszości

Będziemy potem wspominać te dni, te godziny. Będziemy się spierać z przyjacielem, gdzie kto stał i kto pierwszy zawołał „patrzcie" i jak wszyscy rzucili się do okna.

Ten pierwszy czołg, ten pierwszy żołnierz, ba, może nawet ta pierwsza akademia rozrosną się w naszej pamięci za dziesięć czy dwadzieścia lat, rozrosną się w naszej literaturze, w naszej świadomości narodowej, ubronzowi je historia, będą „kuć" je nasze dzieci i wnuki.

A dzisiaj te istotne, decydujące elementy teraźniejszości toną zatopione powodzią plugawie drobnych codziennostek, wyparte z umysłu przez dokuczliwe, przemijające braki, przez rzeczy, o których już za rok będziemy wspominać z rumieńcem wstydu, które dzisiaj zaś rozpalają nas do białej pasji.

Teraźniejszość jest najbardziej pokrzywdzonym aspektem bytu. Przeszłość idealizujemy. Nasza usłużna i koniunkturalna pamięć starannie wymazuje ze świadomości przykre epizody, jak w państwowotwórczej literaturze puszczając w obieg tylko elementy podniosłe i radosne. Może dlatego, że przeszłość jest zwrócona w młodość.

Jeszcze dziwniej zachowujemy się wobec przyszłości. Z nieopartą na niczym pewnością także widzimy ją jasno i różowo. Zachodzi w nas charakterystyczny proces. Wizja przyszłości oparta jest na oczekiwaniu, że to, co nam dokucza w chwili obecnej — ustanie. Wizja przyszłego szczęścia polega na zaprzeczeniu trosk teraźniejszych. Nastawieni na usunięcie tych trosk, oczekując z całym napięciem, że ustaną, nie znajdujemy w sobie dość wyobraźni, aby przewidzieć przyszłość, ocenić nie tylko to, czego nie będzie, ale i to co będzie.

Taki już jest wzór chemiczny naszego odczuwania życia, że elementy przyjemne i przykre na ogół idą zawsze w pewnej proporcji. I jeśli jedna troska się kończy — zaczyna się inna. Nie umiemy ocenić ich obiektywnej ważności. Przeżywamy je niemal jednakowo. Więzień, który uciekł z obozu śmierci, po miesiącu zaczyna się martwić, że ma w pokoju piec nie naprawiony.

Przez pięć lat czekaliśmy na ucieczkę Niemców. Czekaliśmy wtedy, gdy żadne znaki na ziemi i niebie nie mogły nam realnej nadziei udzielić, w skwarne lato po Dunkierce i w pogodną jesień przed Moskwą, gdy jedynym pocieszycielem była wróżka i proroctwa św. Brygidy. Czekaliśmy wtedy, gdy szła ku nam z daleka pierwsza wieść o Stalingradzie i gdy burza wyzwolenia stanęła, by zaczerpnąć tchu o krok od nas, za Wisłą. Pięć przeszło lat — dosyć czasu, by przemyśleć dokładnie jak to będzie wyglądało — nagły błysk wolności — i co ważniejsze, jak się potoczy pierwszy dzień, pierwszy tydzień, pierwszy miesiąc bez Niemców.

Małośmy przemyśleli, mało przewidzieli. Owszem, byli tacy, którzy jeszcze za Dunkierki kłócili się szeptem o wojewodzińskie gabinety, ale ich wizja sprowadzała się na ogół do mętnego, choć pełnego słońca obrazu, gdy „ni z tego ni z owego będzie Polska na pierwszego" i oni usiędą przy biurku ministerialnym a ci rywale dostaną na odczepnego jakieś tam notariaty. Ale większość, ale ogół inteligencji po prostu odczuwał, nie myślał. Kiedy dokucza ząb, zapomina się o wszystkim, prócz chęci zaradzenia bólowi, cóż dopiero jeśli bólem tym są Niemcy. Nawet aktywni bojownicy o wolność, nie szczędzący życia, aby dzień wyzwolenia przyspieszyć, z rzadka tylko i niejasno sięgali w myślach poza ten dzień wymarzony.

Ten brak wyobraźni odbija się teraz. Każde spełnienie ma w sobie pewien procent rozczarowania — właśnie na skutek ograniczonej możliwości przewidywania „dalszego ciągu". Osiągnęliśmy to, czego chcieliśmy najgoręcej: Niemców nie ma, jesteśmy wolni. Co dalej?

Wiemy niby — co dalej. Budować państwo, odbudowywać zburzoną Warszawę, nadwyrężoną psychikę, zahamowaną i cofniętą w tył kulturę. To wiemy. Ale nie zdajemy sobie sprawy z tego, że zadanie to jest trudniejsze, niż poprzednie, niż wygnanie Niemców. Z dwóch względów: po pierwsze, ponieważ wszelkie zadanie pozytywne jest trudniejsze od negatywnego. Po drugie — ponieważ nasz udział w wyzwoleniu Polski był niewielki, pomogliśmy tylko w jej wyzwoleniu, budować zaś państwo musimy sami, z pewną tylko pomocą z zewnątrz.

Uprzytomnijmy sobie: za Niemców oduczyliśmy się naprawdę pracować. Z naturalnych przyczyn, żeby nie pomagać wrogowi, wykręcaliśmy się od przymusowych robót, w urzędach i fabrykach siedzieliśmy, aby mieć papierki zwalniające od wywózek, kradzież uznawaliśmy nie tylko za zło konieczne wobec niedostateczności przydziałów, ale za zaszczytne zadanie patriotyczne. Mimo straszliwego terroru — byliśmy jak słusznie ktoś powiedział — „narodem na urlopie".

Wolność oznacza także, że ten upokarzający **urlop się skończył.** Jak mało spośród nas w pełni zdaje sobie z tego sprawę! Wolność w swych początkach oznacza pracę, ciężką pełną wyrzeczeń, trosk, chaosu. Oznacza — zacisnąć zęby, poświęcić czas, młodość, wygody.

Nie apeluję do ludzi dobrej woli. Stwierdzam fakty. Nie ma przed nami wyboru. Nie mamy dwóch dróg — łatwego, ale upadlającego bytowania na marginesie i żmudnego, ale uszlachetniającego trudu. Jest jedna — ta druga. I wszystko, co pozostaje człowiekowi — to uświadomić sobie konieczność, nieuchronność tej drogi.

Ci, którym się zdaje, że potrafią prześlizgiwać się, jak za Niemców, wykręcać się, wymigiwać — tych także chwyci za karki teraźniejszość i pchnie do roboty, może trochę później, ale tym bardziej bezceremonialnie.

Za Niemców byliśmy narodem zwolnionym z odpowiedzialności za rządy w kraju, za stan kultury, wydajność pracy, wyżywienie, porządek. Odzwyczailiśmy się od tej odpowiedzialności, zapomnieliśmy o jej ciężarze, ale i o jej radościach, radościach wyższego rzędu, radości tworzenia, radości osiągnięcia, jakże cierpkiej — władzy. Uczmy się tego na nowo. Uczmy się rozróżnienia między przemijającym, choć natrętnym a trwałym. Za rok będę z oburzeniem zaprzeczać, gdy kolega mi wypomni, jak awanturowałem się u piekarza. Za dziesięć lat będę spisywał pamiętnik o pierwszym miesiącu wolności.

(wb)

Po prostu

Uciekła nam przepióreczka...

Wybór „Przepióreczki" Żeromskiego na inaugurację teatru w Krakowie mógł być tylko przypadkową pomyłką artystyczną. Zapowiedź jednak wystawienia niebawem „Wyzwolenia", a przed tym jeszcze premiera „Wesela" w Teatrze Wojska Polskiego świadczy o nieporozumieniach znacznie bardziej istotnych i powszechnych, o zupełnym zapomnieniu, że żyjemy nie w roku 1924, ale w dwadzieścia jeden lat później, że mamy trzecią a nie drugą niepodległość, że nie tylko styl teatralny, ale i wielki repertuar musi zostać zmieniony.

Zacznijmy jednak od samej „Przepióreczki". Przedstawienie w teatrze im. Słowackiego było dla nas wielką niespodzianką. Przeczuwaliśmy, że Żeromski się zestarzał, ale nie spodziewaliśmy się jak bardzo, jak straszliwie jest nam obcy i nie tylko obcy, ale irytujący. Spojrzenie po sześciu latach wojny na sztukę Żeromskiego odsłoniło nam nagle cały jej wewnętrzny blichtr, a przez to pozwoliło nam dostrzec, co zmieniło się w nas samych, co zmieniło się wokół nas. Zacznijmy od spraw najprostszych i najłatwiejszych. Cały szkielet komedii osnuty jest wokół oddania ruin starego zamku w Porębianach na gmach szkolny, na jakiś wzorowy instytut dokształcenia nauczycieli ludowych. Wiedzieliśmy, że w przeciwieństwie do powieści francuskiej Żeromski, podobnie jak i większość naszych pisarzy, lekceważy sobie gruntownie realia materialne. Ważny był konflikt psychologiczny czy moralny, ale kto z czego żyje i ile co kosztuje, nie obchodziło artysty. To były sprawy godne pogardy. Sześć lat wojny z całym straszliwym uciskiem codzienności nauczył nas powagi realiów, nauczyliśmy się wszyscy, ile za co się płaci, musieliśmy się nauczyć. Dlatego dopiero teraz uderza nas oczywisty absurd, zupełny bezsens przebudowy czternastowiecznych ruin zamku na gmach szkolny. Nie trzeba przecież być architektem, aby zdać sobie sprawę, że o wiele taniej wypadnie postawić nowy budynek, niż kryć dachem i przerabiać basztę Janka z Czarnkowa, gdzie straszą nietoperze i huczą puszczyki, na laboratorium, sale szkolne, muzeum czy obserwatorium. Stary opiekun księżniczki ma niestety rację, przebudowa Porębian nigdy by nie została skończona.

Oczywiście, że nie to jest najważniejsze w „Przepióreczce". Ale ów szaleńczy pomysł przebudowy feudalnego zamku na wielki dom kultury ludowej świadczy o czymś głębszym. Chodzi o księżniczkę. Szkoła w Porębianach ma powstać dzięki darowiźnie Sieniawianki. I oto absurdowi gospodarczemu odpowiada absurd społeczny.

Gdzie i kiedy były u nas księżniczki gotowe oddać ziemię nie tylko już dla społecznej sprawy, ale choćby dla pięknych oczu profesora fizyki? Może za czasów niewoli, bo na pewno nie w Polsce lat międzywojennych. Dopiero dziś, kiedy dzieli się ziemię i przeprowadza reformę rolną, znajdzie się może niejedna Sieniawianka gotowa oddać ruiny, aby zmniejszyć posiadłość do 50 ha i ocalić od wywłaszczenia resztówkę. Ale na to już za późno.

Inaczej było dwadzieścia lat temu, niż pisał Żeromski. Społeczny dramat „Przepióreczki" oparty jest na fikcji, na snobiźmie, na marzeniu. Ktokolwiek z nas zetknął się kiedyś z Uniwersytetem Ludowym w Gaci, kto rozmawiał z Solarzami, wie dobrze, za czyje pieniądze i czyją pracą i znojem powstawały ogniska kultury ludowej na wsi. Niestety w pracy tej brakło nie tylko księżniczek, ale nawet i profesorów uniwersytetu.

I jeszcze jedno. W trzecim akcie „Przepióreczki" mówi się o owym chłopomanie, co to zakładał na wsi szpitale, ochronki i szkółki, a któremu w czasie rewolucji chłopi spalili zarodową oborę, wyciągnęli z biblioteki książki i z pięknych foliałów oprawnych w cielęcą skórę ułożyli chodnik wzdłuż wsi. Byłem niedawno w Miechowskim, w majątku Sancygniów. Dwór był co prawda kompletnie wyrabowany, ale dwie sale pozostały nietknięte. U wejścia do nienaruszonej biblioteki stał na warcie milicjant ludowy.

A teraz sprawa następna — konflikt miłosny w „Przepióreczce". Przez cały drugi akt, w czasie decydującej rozmowy Smugoniowej z Przełęckim, każda replika aktorska wywołuje salwy śmiechu na widowni. Kiedy Smugoniowa błaga Przełęckiego, aby zdjął z niej opętanie i wrócił jej własną duszę, publiczność po prostu ryczy z uciechy. Powiecie, że widzowie to młodzi niewychowani barbarzyńcy, nie! Publiczność ma rację. Miłosne wielosłowie Żeromskiego, młodopolskie, sentymentalne i rozgadane, jest śmieszne i dobrze, że jest śmieszne! W tej komedii zakrojonej na dramat społeczny, gdzie wszyscy się w sobie kochają — profesorowie w Smugoniowej, Przełęcki w Smugoniowej, księżniczka i Smugoniowa w Przełęckim — panuje jakieś piekielne niewyżycie erotyczne, jakieś głębokie zakłamanie wewnętrzne. I wydaje mi się chwilami, że grać można by „Przepióreczkę", tak jak gra się „Moralność pani Dulskiej", że zamiast grać na przekór widowni, zamiast grać na serio, można by świadomie aktorską grą kompromitować i Przełęckiego i Smugoniową. Są śmieszni, są fałszywi, grajmy ich tak, jak na to zasługują — po cóż aktor ma ich daremnie bronić?

I teraz dochodzimy do sprawy najważniejszej. Śmieszny i obcy widowni jest nie tylko miłosny język Żeromskiego. Nieporozumienie jest znacznie bardziej istotne. „Przepióreczka" ma jedynie pozory komedii społecznej. Kursy dla nauczycieli ludowych są jedynie dekoracją, pośród której rozgrywa się dramat wewnętrzny, dramat postaw moralnych. I obojętne są dla Żeromskiego losy szkoły porębiańskiej, która niechybnie rozleci się po ofierze Przełęckiego. Nie dajmy się zasugestionować zakończeniem — najważniejszą sprawą sztuki jest wewnętrzna czystość jednostki, jej wola mocy i wola panowania. Przełęcki jest bohaterem, ponieważ pozostał wierny swoim obyczajom. Dla nas natomiast jest ważna sama sprawa kursów dla nauczycieli. Chodzi nam nie o to, co dzieje się w duszy bohatera, a co jest zawsze niesprawdzalne i dowolne, chodzi nam o społeczną doniosłość jego postępowania, gardzimy wewnętrznym samouwielbieniem. Dostatecznie drogo płaciliśmy za czyny fałszywych bohaterów, którzy gotowi są zawsze poświęcić wszystko i wszystkich, aby ratować wyimaginowaną czystość wewnętrzną. I dzisiejsi widzowie odczuwają to mniej lub bardziej świadomie. Dosyć mają wskrzeszania dramatów o rozdarciu duchowym inteligenta, o jego słabości maskowanej kultem dla mocy i siły. I dlatego nie przemawia do nas dziś ani Żeromski, ani Wyspiański. Chcemy zobaczyć ludzi takimi, jakimi są naprawdę, a nie takimi, jakimi chcą być, jakimi sobie wyobrażają, że są. Chcemy patrzeć na dramat społeczny, a nie na dramat pozorów. Uciekła nam przepióreczka na zawsze.

Jan Kott

„Przeminęło z wiatrem"

Gdyby w latach okupacji można było przeprowadzić konkurs na najbardziej czytywaną i najpopularniejszą powieść tych lat, zwycięzcą byłby niewątpliwie twór amerykańskiej autorki Margarett Mitchell „Przeminęło z wiatrem". Przyczyną tej popularności były niewątpliwie analogie między wojną Stanów Południowych z Północnymi Stanami Ameryki a drugą wojną światową. Te analogie dotyczyły okrucieństw i bezwzględności obecnej wojny szczególnie na ziemiach polskich, okrucieństw, którym podobne znaleźć można jedynie w tak zawziętych zmaganiach, jak amerykańska wojna domowa.

Jednakże powody rozgłosu czytelniczego a z nimi analogie do stosunków polskich sięgają głębiej, w sprawy, jakich przeciętny czytelnik nie uświadamia sobie tak dokładnie, chociaż one przede wszystkim zaważyły na powodzeniu tej powieści. Chodzi o socjalne i kulturalne przeciwieństwo Stanów Południowych i Stanów Północnych. Stany Południowe — rolnicze, rozlewne, psychologicznie dobroduszne, to wielka własność, typ życia dostatniego i łagodnego, to obfitość żywności, obfitość zabaw, „rycerskości", hojności. Po tej stronie są sympatie autorki i ta strona pada ofiarą bezlitosnej historii, ta, gdzie na każdym kroku chwytamy się na myśli — ależ to Polska, szlachecka Polska, zanikająca Polska dworów i życia wiejskiego, zupełnie już zanikła Polska „kresów wschodnich".

Cóż, że ziemia czerwona, że murzyni, że bawełna, że skwar południa. Podobieństwo socjalne i kulturalne wynikające z podobieństwa warunków gospodarczych wprost się narzuca. Podobieństwo charakterów i psychik gruntuje się na tym podobieństwie szerszym. Czymżeż złota młodzież z Karoliny różni się od podolskich czy wołyńskich bałagułów, żyjących w nieledwie tych samych latach? Tym, że jedna wyrzuca złoto zebrane za bawełnę, druga zebrane za pszenicę i dęby. Wyrzuca zaś wśród takich samych objawów temperamentu i siły żywotnej, jaka nie znajduje w podobnych warunkach innego zastosowania nad to, by w sensie czysto biologicznym żyć bujnie. Podobieństwa stają przed polskim czytelnikiem tak mocne, że doznaje złudzenia, jak gdyby odkrywał za morzami nową jakąś i egzotyczną, ale tę samą w swojej istocie, Polskę już minioną na zawsze. Egzotyka plus znajomość, powszedniość tematu przybranego w formułę egzotyczną, to najprostszy szlak do łatwego powodzenia. Trochę drażni, trochę niepokoi, lecz nigdy nie wytrąca z wiadomych ram. I polski czytelnik podpowiada amerykańskiej autorce słowa, jakie być może wzięłaby za motto swej powieści, gdyby je znała: „wsi spokojna, wsi wesoła..."

Oto przyczyny powodzenia. Nie są one zasługą pani Mitchell, ale przypadkiem, który w polskich stosunkach wyniknął z tematu jej książki.

Na tym przypadku wyczerpują się wartości głośnej powieści. Wszystko bowiem inne jest w niej bardzo szczególnego i niezbyt cennego gatunku. Jest to powieść niesłychanie niewieścia z wszystkimi wadami tego nazwania a bez jego zalet. Niewieścia jest przede wszystkim przez swój realizm, rzekłbym, szydełkowy. Realizm banalnego szczegółu obyczajowego, ustawicznego notowania, jak kto był ubrany, w jakiej sukience, jakiej fryzurze itd. Autorka zasypuje zdarzenia i postacie drobniutkimi obserwacjami, aż giną pod tą lawiną maku.

Z tej pozbawionej wszelkiego umiaru i perspektywy drobiazgowości wynika najcięższy grzech tej książki — jej zgoła niesamowite gadulstwo. Tematu starczy w niej właściwie na normalny, 300—400-stronicowy tom, a tu stronic tych mamy około półtora tysiąca. Gdyby ten brak kondensacji był okupiony jakąś odkrywczością psychologiczną lub obyczajową (nie będę wspominał Prousta, bo to za wysokie progi dla naszej pisarki...), domagającą się takiej skrupulatności i dokładności, pół biedy. Lecz nic podobnego. Wciąż ta sama niecierpliwość i porywczość Scarlette, do ostatecznego umęczenia czytelnika rozprowadzana przy każdej sposobności tymi samymi nieledwie zwrotami, wciąż tych samych kilka przeżyć, rozbijanych jak piana przy każdej sposobności, oto powód jedyny tego potopu słów. Powód, lecz nie usprawiedliwienie artystyczne. Autorką rządzi dziecinne przekonanie, że wszystko musi być powiedziane, powtórzone, podkreślone aż do najzbędniejszej kropki, a nic nie śmie pozostać dla domyślności czytelnika. Ten grzech gadulstwa jest grzechem najcięższym i zgoła nie wybaczalnym popularnej powieści.

„Przeminęło z wiatrem" stawia przeto w całej rozciągłości ten sam problem, który wyłania się z modnej w latach międzywojennych powieści cyklicznej, powieści-rzeki. Tych powieści-rzek popłynęło wówczas mnóstwo przez literatury wielu krajów, głównie przez literaturę francuską. Łączy je wspólna nadzieja: że przez ilość i rozmiar osiągnie się jakość, że wystarczy dużo nagadać, a z nagadanego zawsze coś pozostanie. Ta złudna nadzieja w powieści amerykańskiej — nie inaczej jest z „Antonim Adverse" — tym widnieje jaskrawiej, że ubóstwo psychologiczne występujących postaci i niewielka ich liczba nie dają uprawnienia do rozlewności słownej i drobiazgowości zdarzeń.

Jestem przeświadczony, że rozgłos tej książki, podobnie jak z wojennym wiatrem niespodziewanie przyleciał, tak z nim przeminie. Obfita w słowa ramota Mitchell zasługuje na taki los.

Kazimierz Wyka

Chopiniana wojenne

Pożoga wojenna nie tylko zakłóciła spokój Żelazowej Woli, gdzie stała kołyska Chopina, krwawą łuną zniszczenia przeszła przez wiele miejsc z jego imieniem związanych, oraz wypaliła liczne po nim pamiątki oraz oznaki hołdu, postawione mu przez naród.

We wrześniu 1939 r., podczas oblężenia Warszawy, spalił się doszczętnie podczas bombardowania przez lotnictwo niemieckie gmach Filharmonii Warszawskiej, a z nim m. in. zbiory sekcji im. Fryderyka Chopina przy Warszawskim Towarzystwie Muzycznym, oraz cenne chopiniana Instytutu Fryderyka Chopina. Zaledwie archiwum tej instytucji zdołano wówczas uratować. Na fasadzie wypalonej Filharmonii pozostało tylko popiersie Chopina dłuta Władysława Mazury.

25 września 1939 r. padły również ofiarą bomb zapalających zbiory muzyczno-ikonograficzne Edwarda Wrockiego, przy ul. Trębackiej 10, obejmujące około 25 000 pozycyj, a wśród nich obok bogatej ikonografii rosyjskiej znaczna ilość materiałów ikonograficznych szopenowskich.

Zaginęły bez śladu bezcenne manuskrypty muzyczne dzieł Chopina nabyte w r. 1937 przez rząd polski od firmy wydawniczej Breitkopf i Haertel w Lipsku, znajdujące się w chwili wybuchu wojny w skrytce Banku Gospodarstwa Krajowego.

Okupacja niemiecka, której jednym z pierwszych aktów kulturalnych było spalenie na placu publicznym w Łodzi polskich księgozbiorów, wykazała niezwykłą zaciekłość wobec pomników Fryderyka Chopina. I tak już we wrześniu 1939 r., po zajęciu Poznania, zniszczono tam pomnik Chopina dłuta Marcina Bożka, zdobiący park Moniuszki przy alejach Chopina. Z kolei usunięto w końcu 1939 r. skromne popiersie Chopina dłuta Pokutyńskiego, stojące wśród zieleni plant krakowskich obok placu Szczepańskiego. Dnia 3 maja 1940 r. o godz. 12-tej wysadzono dynamitem pomnik Chopina w warszawskim parku Łazienkowskim, dzieło Wacława Szymanowskiego. Następnie przyszedł znany zakaz wykonywania utworów Chopina publicznie.

„Rehabilitacja" urzędowa Chopina, jaka rozpoczęła się w r. 1943, mająca daremny sens polityczny — była, jak już teraz wiadomo, przede wszystkim imprezą rabunkową. Gdy w październiku 1943 roku otwarto w nowym gmachu Biblioteki Jagiellońskiej stałą wystawę szopenowską, ściągnięto do Krakowa z Lyonu zbiory szopenowskie znanego francuskiego muzykografa Edwarda Ganche'a, których zakup został zainicjowany jeszcze w roku 1939 przez czynniki polskie (386 pozycyj); z Warszawy, z Muzeum Narodowego, obraz Teofila Kwiatkowskiego p. t. „Chopin podczas ostatniej choroby", z Biblioteki Krasińskich manuskrypt w r. 1942 z rąk prywatnych wyłudzonych 24 preludiów (op. 28), a z Muzeum Czartoryskich w Krakowie autentyczną maskę pośmiertną Chopina, portret pędzla Stanisława Stattlera-Stańskiego, kopię z oryginału Ary Sheffera oraz listy Chopina do jego przyjaciela Grzymały. W rok później w październiku 1944 r. Niemcy zrabowali wystawę w całości i wywieźli eksponaty do Niemiec.

Krocząc szlakiem zniszczenia, spełnionego już bez reszty po powstaniu warszawskim, poprzez stolicę, na placu Teatralnym widzimy wypalone lewe skrzydło Teatru Wielkiego, gdzie się mieściła obok Miejskiej Biblioteki Teatralnej od r. 1942 biblioteka muzyczna prócz ikonografii Edwarda Wrockiego, największy zbiór tego rodzaju w Polsce. Z biblioteką tą wielka ilość bezcennych materiałów szopenowskich zginęła bezpowrotnie.

Czy zostało cokolwiek jeszcze?

Gdy wchodzimy na Krakowskie Przedmieście, wita nas na szczęście tylko lekko uszkodzony kościół Wizytek, ta perełka wśród kościołów warszawskich, gdzie młody uczniak Chopin przygrywał na organach co niedzielę swe improwizacje nieraz niezupełnie nabożne podczas mszy sztubackiej, jak to się chwalił w jednym z listów do swego przyjaciela Jana Białobłockiego (listopada 1825 r.): „Zostałem organistą Licejskim. — Ha, mości Panie Dobrodzieju, co ze mnie za głowa. Pierwsza osoba w całym Liceum po Ks. Proboszczu. — Gram co tydzień, co niedzielę u Wizytek na organach, a reszta śpiewa."

Natomiast na frontowej ścianie lewej oficyny kamienicy na Krakowskim Przedmieściu nr 5 widnieje tylko na wypalonych murach tablica pamiątkowa z napisem: „W tym domu mieszkał i tworzył Fryderyk Chopin przed opuszczeniem w 1830 r. Warszawy na zawsze."

O kilkadziesiąt kroków dalej stoją ruiny kościoła św. Krzyża, a w nich, w rozerwanej zbrodniczym wybuchem dynamitowym od samych podziemi nawie głównej, spoglądamy na miejsce, gdzie w pierwszym filarze po lewej stronie spoczywało do niedawna serce Chopina.

Nieobliczalne są szkody wyrządzone naszej kulturze muzycznej, oprócz tych strat, które pobieżnie rejestrujemy — w wielu domach prywatnych zginęły bezpowrotnie cenne pamiątki po Chopinie, manuskrypty muzyczne, listy, pierwodruki itp., wielkiej wartości dla badaczy materiały m. in. fotokopie manuskryptów szopenowskich Nestora fotografii polskiej, Jana Bułhaka, materiały zasłużonego szopenografa Ferdynanda Hoesicka i bardzo wiele innych.

B. E. Sydow

Mieszaniny

Adolf Schickelgruber, z nieznanych przyczyn ukrywający się pod nazwiskiem Hitler, jest osobą powszechnie znaną.

Od lat najmłodszych pożera go chorobliwa ambicja, dla której usiłuje na wszelkie sposoby znaleźć ujście, w głębokim poczuciu, poczuciu przyprawiającym go o zawroty głowy, o mdłości i zgagę, że w czymkolwiek, ale musi zająć w świecie pierwsze miejsce. Z faktu, że ręka jego zdradzała skłonności do wodzenia pędzlem, wysnuwa wniosek, że jest artystą. Skoro jest już artystą, to znaczy, że jest artystą pierwszym w świecie. I tutaj na jego ambicję spadają pierwsze i choć nie ostatnie, ale może najboleśniejsze ciosy. Schickelgruber nie był nigdy, jak opowiadają, malarzem pokojowym. Malował obrazki, jakieś domki, widoczki, gustował szczególnie w minach (!), poza tym zajmował się dekoracją wnętrz. Te jego prace nie były takie złe jak bohomazy Rydza Śmigłego, którymi obdarowywał kolegów z sanacji, a które wyciągali zza pieca i umieszczali na honorowym miejscu, kiedy do nich przychodził. Wykazywały pewną znajomość sztuki malarskiej, ale poza tym nie wyróżniały się niczym poza przeciętnością i nie wróżyły pierwszego miejsca nie tylko w świecie, ale nawet w szkole rysunkowej. Nie pamiętam już dokładnie, jak się to wszystko stało, chodziło o kandydaturę na jakiś wyjazd do Paryża, czy coś takiego, dość, że Schickelgrubera pominięto i odmówiono mu talentu. Jego żalu i wściekłości nie będę się silił opisać, trzeba by na to pióra Homera. W każdym razie Schickelgruber musiał się nad tym wszystkim zastanowić i wyciągnąć jakieś wnioski. Zastanowił się i wyciągnął: „Świat, w którym żyję, nie uznaje mojego malarstwa.. Czy znaczy to, że moje malarstwo jest złe? Nie. Znaczy, że zły jest świat. Czy znaczy to, że należy zmienić moje malarstwo, żeby podobało się światu? Nie, należy zmienić świat, żeby podobało mu się moje malarstwo."

Taka jest „geneza" powstania trzeciej i mam nadzieję, że ostatniej Rzeszy. Sądzę, że szczytów upojenia i satysfakcji doznał Schickelgruber, kiedy w jednej ze swych mów, potrącających o zagadnienia kulturalne powiedział: „Niebo jest niebieskie, trawa zielona, a obłoki białe, ktokolwiek będzie malował inaczej, odeślę go do obozu koncentracyjnego, jako wariata." Schickelgruber dokonał w swoim kraju przewrotu, niwelując go do poziomu swojej mieszczańskiej przeciętności. Przyszło mu to bardzo łatwo, trafił na grunt podatny. Zasiedziałe i drobnostkowe mieszczaństwo niemieckie rzuciło się z rykiem entuzjazmu i żarliwej gorliwości do stopni zbudowanego ołtarza przeciętności i ogłosiło jego twórcę swoim mesjaszem. Tego mesjasza narodu niemieckiego nazwać by można geniuszem przeciętności. Posiada on w sobie wszystkie cechy przeciętnego mieszczucha, wzmożone i rozrośnięte do potęgi siły. Stał się symbolem narodu niemieckiego i jednocześnie symbolem mieszczańskiej kołtunerii i nikczemności. Przewrót, którego dokonał, nie był żadnym przewrotem, a jedynie skoncentrowaniem, odremontowaniem form starych i butwiejących przeciw idącemu nowemu światu, nienawiścią ku wszelkiej świeżości i nowości, zduszeniem naturalnego biegu rzeczy. I pokazał wódz i naród cały, dokąd zajść potrafi spuszczona z cugli konwenansu dobroduszna, świętobliwa i uczciwa burżuazja. Od policzków i uderzeń wymierzanych na ulicach miast niemieckich Żydom, do najwyszukańszych tortur zadawanych ciałom obywateli wszelkich narodów europejskich za drutami kolczastymi, w miastach śmierci wyposażonych w techniczne cuda, do katowania i mordowania ludzi, za to, że są ludźmi. Od eliminowania w sztuce prawdziwych artystów, którzy widzą świat w innych barwach niż „Führer", do zupełnej zagłady wszelkiej sztuki i literatury u siebie, do prób zgładzenia jej wśród podbitych narodów, do burzenia pomników, muzeów, kościołów i całych miast.

Hitleryzm i jego wódz, to jakiś przeraźliwy upiór ze stęchłych mieszczańskich domów, straszący i ssący krew na szczęście już tylko na coraz mniejszym skrawku własnej ziemi.

W pismach codziennych ukazują się nowe karykatury, fraszki i dowcipy o Hitlerze. Kiedy je oglądam i czytam, bez względu na poziom humoru, nie jestem w stanie wzbudzić w sobie najlżejszej wesołości. Otóż jakiekolwiek przypominanie mi tej postaci nastraja mnie ponuro i obrzydliwie. Humor jest nieodłącznym czynnikiem świata, być może nie docenionym jeszcze przez literaturę i życie, tak jakby należało. Ale jest gatunek spraw tak ponurych, tak obcych życiu i jego żywotnym sprawom, że dotykanie ich zmysłem humoru stanowi jakiś dysharmoniczny zgrzyt, stanowi profanację humoru.

Dlatego nie chce mi się śmiać z Hitlera i w ogóle dajcie mi z nim święty spokój.

Stanisław Dygat

KRONIKA

Kongres Emigracji Polskiej. W Paryżu odbył się wielki Kongres Emigracji Polskiej pod przewodnictwem pani Jolliot-Curie i Marii Mickiewiczówny, wnuczki Adama. Udział w Kongresie wzięli przedstawiciele francuskich sfer intelektualnych i politycznych, między innymi Ludwik Saillant, przewodniczący francuskiej Rady Oporu, Fryderyk Jolliot, znakomity fizyk i laureat Nobla, Coornaert, profesor College de France i redaktor pisma „L'Aube" organu francuskiej chrześcijańskiej demokracji, Montfort sekretarz Akademii Francuskiej, Albert Bayet, prezydent Stowarzyszenia Wolnej Prasy.

Rada Ministrów uchwaliła przyznać wnuczce Adama Mickiewicza, Marii Mickiewiczównie, pensję miesięczną w wysokości 10.000 franków. Jest to dowód pietyzmu dla pamięci wieszcza, którego wnuczka pozostała wierna ideałom demokratycznym. Maria Mickiewiczówna ofiarowała cały swój majątek w postaci muzeum im. Mickiewicza Bibliotece Polskiej w Paryżu.

W poprzednim (15) numerze „Odrodzenia" z dnia 11 marca: **Mieczysław Jastrun:** Chłopi w polskiej poezji romantycznej. — **Józef Sieradzki:** Wyzwolenie. — **Stanisław Jerzy Lec:** U matuli na Bójkach. — **Jerzy Lau:** Baśń leśna. — **Zbigniew Bieńkowski:** Z podróży do ZSRR. — **Wacław Waśkowski:** Drzeworyt — sztuka skrzywdzona. — **Zofia Nałkowska:** Węzły życia (3). — Z francuskiej twórczości podziemnej. — **Wincenty Bednarczuk:** Na progu trzeciej niepodległości. — **Jan Bolesław Ożóg:** Elegie Janickiego. Sielanka śnieżna. — **jprz.:** Pisarze śląscy wracają do siebie. — **Jerzy Andrzejewski:** W pierwszym roku. — **Stanisław Dygat:** Mieszaniny. — Kronika. — 8 ilustracyj (m. in. **T. Cieślewskiego, T. Kulisiewicza, Wł. Skoczylasa i J. Zaruby**). — 8 stron.

Wolne mieszkanie

Patriota

— Widzi pan, ja się narazie nie angażuję...

Osiołkowi w żłobie dano...

rys. Eryk Lipiński

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji i administracji: Kraków, Wielopole 1. — Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" — M — 00784